

Krzysztof Ścierański

Należę do związku transportowców
z własnym programem artystycznym

Rozmawiają z nami
Tomasz Gąsowski
Paweł Kaczmarczyk
Tomasz Furmanek
Gabriel Ferrandini

SPIS TREŚCI

3 – Od Redakcji

4 – Mokotów Jazz Fest

Henryk Miśkiewicz Full Drive 3

6 – Wydarzenia

8 – Płyty

8 RadioJAZZ.FM poleca

10 Nowości płytowe

16 Pod naszym Patronatem

Live duetu An On Bast / Maciej Fortuna

Organ Spot

Therapy

24 Recenzje

Eric Clapton – *Old Sock*

Madeleine Peyroux – *The Blue Room*

Tomasz Szukalski – *Tina Kamila*

Przystanek Szymanowski

Karo Glazer – *Crossing Projects*

Gorzycki/Pater – *Therapy*

36 – Przewodnik koncertowy

36 RadioJAZZ.FM i JazzPRESS zapraszają

38 W czerwcu w klubach

40 Nasi zagranicą

42 II Międzynarodowe Integracje Jazzowe

44 Jazzowe święto na festiwalu JazzArt

45 Sing Sing Penelope

To jest muzyka!

47 Pink Freud

Łowca androidów na Dolnym Śląsku

48 XIX Międzynarodowy Festiwal Starzy

i Młodzi, czyli Jazz w Krakowie

52 Tomasz Stańko New York Quartet

53 Muzyka dla Jarka w Krakowie

56 Koncert dla Jarka

60 Al di Meola w Krakowie

62 – Wywiady

62 Krzysztof Ścierański

Należę do związku transportowców z własnym programem artystycznym

74 Tomasz Gąsowski

Dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć osób nie pomoże, ty jednak musisz szukać tej tysięcznej

82 Paweł Kaczmarczyk

Planów mam dziko dużo

86 Tomasz Furmanek

Fascynowała mnie wolność i muzyczna przestrzeń jazzu

94 Gabriel Ferrandini

Polska jest krajem znajdującym się pod największym wpływem Stanów Zjednoczonych

100 – Publicystyka

100 Głosem muzyka jazzowego

Sytuacja jest ciekawa i złożona

101 Jazzowy notes

Kolejka do jazzu

103 – BLUESOWY ZAUŁEK

103 2013 Blues Music Awards

104 Joe Bonamassa

106 Nowa płyta Moreland & Arbuckle

107 Mało Obiektywny Bluesowy Przegląd Płytowy

110 – Kanon Jazzu

110 Kanon w eterze

112 – Redakcja

Możesz nas wesprzeć

nr konta: 05 1020 1169 0000 8002 0138 6994

wpłata tytułem:

Darowizna na działalność statutową Fundacji

Od Redakcji

Czerwcowym numer magazynu JazzPRESS wydajemy pod znakiem Mistrza basu, czyli Krzysztofa Ścierańskiego. Kroku dotrzymują mu Paweł Kaczmarczyk, Tomasz Gąssowski, Gabriel Ferrandini, Rafał Gorzycki, Dominik Strycharski i Tomasz Furmanek. Zapraszam do lektury.

*Ryszard Skrzypiec
Redaktor Naczelny*

O G Ł O S Z E N I E

W związku z dynamicznym rozwojem projektów JazzPRESS i RadioJAZZ.FM
szukamy osób chętnych do współpracy

Dołącz do nas!

Osoby chętne, prosimy o kontakt:

jazzpress@radiojazz.fm



Mokotów Jazz Fest

Henryk Miśkiewicz Full Drive 3

W ramach Warszawskiej Drogi Kultury na warszawskim Skwerze im. Małkowskich odbył się kolejny koncert drugiej edycji Mokotów Jazz Fest. Wystąpił saksofonista Henryk Miśkiewicz z towarzyszeniem formacji Full Drive ... 3. Zapraszamy do fotoreportażu autorstwa Piotra Gruchały.

(red.)



fot. Piotr Gruchała





fot. Piotr Gruchała



- ✕ 1 maja stowarzyszenie dziennikarzy jazzowych Jazz Journalists Association ogłosiło listę osób uhonorowanych dorocznymi nagrodami w kategoriach muzyka. JJA Jazz Awards 2013 za całokształt twórczości otrzymał, obchodzący w tym roku 80 lat, saksofonista Wayne Shorter, który został uhonorowany nagrodami jeszcze w dwóch kategoriach: Small Ensemble of the Year oraz saksofon sopranowy. Muzykiem roku, głosujący w plebiscycie dziennikarze, uznali trębaczka Wadadę Leo Smitha, który otrzymał wyróżnienie także w kategorii trębacz roku. W kategorii kompozycja-aranżacja uhonorowano Marię Schneider, nadzieją roku uznano pianistę Aarona Diehla. Płytą roku – w opinii głosujących – jest *Centennial: Newly Discovered Works of Gil Evans*. Specjalną nagrodą „Emeritus Jazz Artist/ Beyond Voting”, uhonorowano saksofonistę Sonny’ego Rollinsa. Z pełną listą nagrodzonych można się zapoznać na stronie internetowej JJA www.jjajazzawards.org
- ✕ 1 maja w wieku 86 lat zmarł pianista i hammondzista Joe Killian. Grał m.in. z takimi muzykami, jak: Jimmy Ford, Dexter Gordon, Sonny Stitt, Charlie Shavers, Tino Contreras, Curtis Fuller, Stuff Smith, Clifford Scott, Kansas Fields, czy Wilbur Ware. Urodził się 10 kwietnia 1927 r.
- ✕ Album zatytułowany *All that jazz* ze zdjęciami wybitnego fotografika Ryszarda Horowitza został uhonorowany dwoma nagrodami w konkursie Najpiękniejsze Książki Roku, zorganizowanym w trakcie Warszawskich Targów Książki. Konkurs organizuje Polskie Towarzystwo Wydawców Książek i jest to najstarszy polski konkurs wydawniczy. W tym roku odbył się po raz 53.
- ✕ 18 maja w wieku 66 lat zmarł gitarzysta, kompozytor, współzałożyciel i lider formacji Maa-nam, Marek Jackowski.
- ✕ 20 maja w wieku 74 lat zmarł klawiszowiec, współzałożyciel zespołu The Doors, Ray Manzarek. Urodził się 12 lutego 1939 roku.
- ✕ Do 7 czerwca można nadsyłać zgłoszenia udziału w konkursie w IV. Ogólnopolskim Konkursie Muzyki Jazzowej RCK PRO JAZZ. Konkurs odbywa się w ramach RCK PRO JAZZ Festiwal. Jego finał odbędzie się w dniach 2-3 sierpnia w Kołobrzegu. Organizatorem konkursu jest Regionalne Centrum Kultury im. Z. Herberta w Kołobrzegu. Szczegółowe informacje i warunki uczestnictwa dostępne są na stronie RCK www.rck.kolobrzeg.eu
- ✕ Do 7 czerwca można nadsyłać zgłoszenia na KREACJE – prezentacje młodych artystów improwizujących w ramach ART OF IMPROVISATION Creative Festival. KREACJE/PRZEGŁĄD został zorganizowany, aby umożliwić prezentację swoich działań szerszej publiczności najzdolniejszym improwizatorom młodego pokolenia. KREACJE/ZDERZENIA stwarzają z kolei możliwość unikalnych połączeń improwizatorów podczas festiwalu. Artyści, którzy nigdy wcześniej nie spotkali się na scenie, stają przed zadaniem improwizacji z losowo wybranymi partnerami. To spore wyzwanie, które owocuje intrygującymi i świeżymi sytuacjami

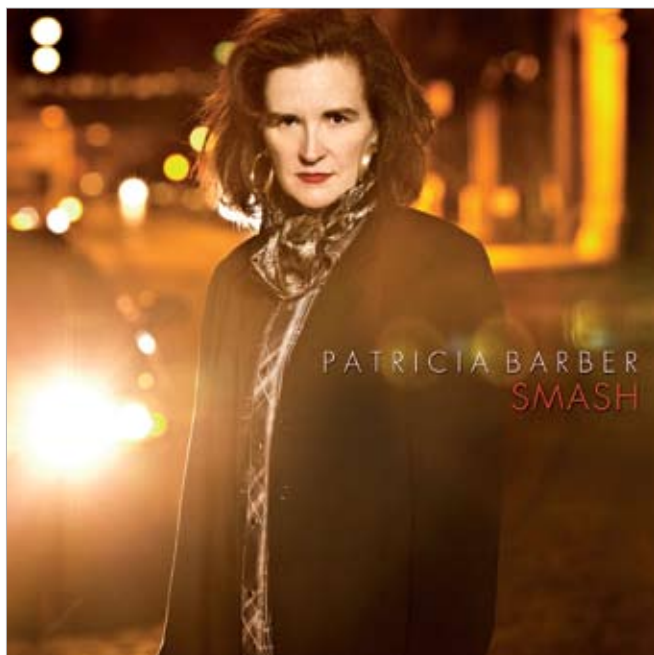
artystycznymi. KREACJE to inicjatywa, która pomaga stworzyć sieć i forum wymiany artystycznej młodych, improwizujących twórców z Polski. Podczas tej edycji ART OF IMPROVISATION Creative Festival, organizatorzy postanowili poświęcić KREACJOM zdecydowanie więcej miejsca, tak żeby jeszcze większa liczba młodych improwizatorów miała możliwość pokazania się scenie. Na zwycięzcę czeka 1000 zł. W jury tegorocznej edycji zasiądą m.in. laureat Fryderyka 2013 w kategorii Jazzowy Debiut Roku – Piotr Damasiewicz – oraz dziennikarka Jazz Forum – Monika Okrój. Więcej informacji zainteresowani znajdą na stronie www.ckagora.pl

- ✕ Instytut Muzyki Uniwersytetu Zielonogórskiego i Zielonogórskie Stowarzyszenie Jazzowe w dniach 21-22 listopada organizują w Zielonej Górze Ogólnopolską Konferencję Naukową „Jazz w polskiej kulturze muzycznej”. Jak piszą organizatorzy – kierownik naukowy dr Rafał Ciesielski i kierownik organizacyjny mgr Artur Majewski: „Idea konferencji zrodziła się z przekonania, iż szeroka, wielowątkowa i znacząca artystycznie obecność jazzu w polskiej kulturze muzycznej nie jest w adekwatnych proporcjach dopełniana odnośnymi refleksjami, komentarzami i postawami badawczymi. Zasadne wydało się – zatem – stworzenie forum dla przedstawienia prowadzonych w tym zakresie badań i analiz, rozpoznania i zintegrowania środowiska badaczy jazzu w Polsce, a zarazem zainspirowania i poszerzenia kręgu naukowców podejmujących tę tematykę. Konferencja może jednocześnie – na co liczymy – ujawnić potrzebę kontynuowania takiej formy

wymiany doświadczeń i prezentowania ustaleń badawczych.” Osoby zainteresowane udziałem w Konferencji prosimy o kontakt, wypełnienie karty zgłoszeniowej i przesłanie jej do 15 czerwca 2013 r. na adres: rciesielski@lbk.pl lub dr Rafał Ciesielski Uniwersytet Zielonogórski Instytut Muzyki, ul. Prof. Z. Szafrana 19, 65-516 Zielona Góra.

- ✕ Do końca czerwca br. poinformujemy o przyjęciu zgłoszonych propozycji oraz o numerze konta i terminie wpłaty za konferencję. Koszt konferencji w wysokości 380,00 zł obejmuje opłatę konferencyjną, koszty zakwaterowania i wyżywienia. Planujemy, aby rezultatem konferencji była publikacja przedstawionych materiałów. Wszelkie pytania prosimy kierować na adres: rciesielski@lbk.pl lub tel. 605 270 380.

(rs)



Patricia Barber – *Smash*

Przy okazji każdej nowej płyty Patricii Barber zastanawiam się, czy to śpiewająca pianistka, czy raczej wyśmienicie grająca na fortepianie wokalistka. Prawie zawsze dochodzę do wniosku, że Patricia Barber to jednak najzwyczajniej wyborna pianistka, która przy okazji potrafi śpiewać, no i jeszcze napisać dla siebie znakomite piosenki.



Marek Jakubowski Trio – *My Own...*

My Own... to przypuszczalnie debiut nagrania wytria Marka Jakubowskiego w tym właśnie składzie. To również prawdopodobnie debiut wszystkich muzyków z zespołu w mojej głowie. Nie przypominam sobie żadnego nagrania z ich udziałem. Za to album *My Own...* będę pamiętał długo i mam przeczucie, że nie wyłąduje wśród całej masy płyt, których słucham tylko raz i do których nigdy nie wracam, albo wracam jedynie przy jakichś historycznych okazjach, czy przygotowywaniu audycji monograficznych.



Ketil Bjørnstad – *La Notte*

Muzyka na tym albumie brzmi tak, jakby była napisana z myślą o konkretnej grupie muzyków, z których każdy wnosi wiele do brzmienia albumu, otrzymując jednocześnie od kompozytora i lidera miejsce dla popisów solowych.

To nie jest muzyka, która wciągnie Was od pierwszych dźwięków. Napięcie rośnie mniej więcej do czwartego utworu. Nie odrzucajcie tego albumu po wysłuchaniu pierwszego kawałka. Tu nie ma singlowego przeboju, zresztą zupełnie nie o to w tej produkcji chodzi. *La Notte* to nie jest spektakularny film akcji, to raczej obraz Antonioniego – tak przecież miało być i zamiar ten doskonale się udał – a jego filmy nie zaczynają się jak najnowszy odcinek Jamesa Bonda...



Craig Taborn Trio – *Chants*

Chants to kolejny album Craiga Taborna wypełniony jego wyśmienitymi, opartymi na muzycznych kontrapunktach i czerpiących z wielu różnych tradycji kompozycjach. To nie jest wirtuozerska płyta pianisty, to raczej zrównoważone jazzowe trio – album – który można śmiało postawić obok najlepszych nagrań zespołów Keitha Jarretta, czy nowych nagrań Bobo Stenona, sięgając jedynie do przykładów z macierzystej wytwórni.

Rafał Garszczyński

recenzje płyt tygodnia znajdziesz na stronie
www.jazzpress.pl/index.php/pyta-tygodnia

30 kwietnia ukazało się DVD z nagraniem cyklu dziewięciu koncertów, jakie legendarna formacja Magma dała w paryskim klubie Le Triton w 2011 roku. Krążek zatytułowany **EPOK V** dopełnia serię **Myths & Legends**. Znalazły się na nim zarówno kompozycje pochodzące z lat 1971, 1977 i 1978, a także 20 minut do tej pory niepublikowanych nagrań. **Zobacz zapowiedź albumu »**

30 kwietnia nakładem CAM Jazz ukazało się DVD z zapisem solowych popisów perkusisty Michele'a Rabbii. **Dokumenta Sonum**, to projekt łączący kilka rodzajów sztuki: obraz, instalacje dźwiękowe, akcje sceniczne.

1 maja nowojorski sextet Beninghove's Hangmen wydał swoją drugą płytę. Po dobrze przyjętym albumie zatytułowanym **Beninghove's Hangmen** z 2011 roku, tym razem jest to **EP Rattlesnake Chopper**. Na krążku znalazło się sześć kompozycji lidera, saksofonisty i multiinstrumentalisty Bryana Beninghove'a, któremu towarzyszą gitarzyści: Eyal Maoz i Dane Johnson, puzonista Rick Parker, perkusista Shawn Baltazor i basista Kellen Harrison. **Album jest dostępny tu »**.

6 maja ukazała się czwarta pozycja z radiowej serii Polish Radio Jazz Archives zatytułowana **Komeda**. Na płycie znalazło się dwanaście nagrań. Pierwsze dwa, to nieznane szerzej nagrania Sekstetu Komedy z roku 1957, zarejestrowane w Polskim Radiu Gdańsk. Następne dwa, nagrane z kolei w Polskim Radiu Poznań, w tym jedna z wczesnych kompozycji K. Komedy współautorstwa Jana Wróblewskiego pt. „That Second”. Kolejny utwór został wykorzystany w filmie **Niewinni Czarodzieje**, a zarejestrowano

go przez kwartet kompozytora w Polskim Radiu Warszawa w roku 1959. W dalszych nagraniach możemy usłyszeć szwedzkiego saksofonistę Bernta Rosengrena i Trio Krzysztofa Komedy. To kompozycje z filmu „Nóż w wodzie”, zarejestrowane w Polskim Radiu w Warszawie oraz podczas festiwalu Jazz Jamboree'61. Płytę kończą cztery nagrania Tria Krzysztofa Komedy zarejestrowane podczas festiwalu Jazz Jamboree'62. Są to: „Pierwsza etiuda baletu jazzowego”, melodia z filmu **Alicja w krainie czarów** Franka Churchilla oraz dwie kompozycje z filmu **NÓŻ w wodzie**. Wraz z Krzysztofem Komedą, grającym na fortepianie, w nagraniu wzięli udział: Roman „Gucio” Dyląg – grający na kontrabasie i Rune Carlson – na perkusji. **Recenzję płyty opublikowaliśmy w majowym numerze magazynu JazzPRESS »**

7 maja wydawnictwo Cam Jazz wydało płytę duetu: Ralph Alessi (trąbka) i Fred Hersch (fortepian). Krążek zatytułowany **Only Many**, to drugi album wydany przez trębacza w tej wytwórni. Poprzedni, to **Cognitive Dissonance**. Na płycie znalazło się czternaście kompozycji „od Monka do Motiana” zagranych na „cztery ręce” – dialog zainicjowany przed wieloma laty przez Herscha w Pocket Orchestra. Materiał został nagrany w dwóch podejściach – 17 czerwca 2011 r. i 17 maja 2012 roku w Dolan Recording Studios/ NYU Steinhardt School w Nowym Jorku.

Muzyki z płyty można posłuchać pod tym linkiem. »

Tego samego dnia, w tym samym wydawnictwie, ukazał się także album projektu Big Blue, który tworzą Finowie: trębacz Jorma Kalevi Louhivuori, pianista Antti Kujanpää, kontrabasi-
sta Jori Huhtala i perkusista Joonas Leppänen. Płyta zatytułowana *Strange Wonder* zawiera dziewięć kompozycji i jest kolejną manifesta-
cją północnoeuropejskiej ścieżki jazzu. **Muzyki można posłuchać tutaj »**

13 maja premiera nowej płyty trio Zawadzki / Praśniewski / Wośko zatytułowanej *Tąge*. Płytę wydała wytwórnia Multikulti Project. **Tu można posłuchać fragmentu zatytułowanego „13 years ago and 13 years later” »**

14 maja wytwórnia Motema Music wydała kilka nowych płyt. W tym zbiorze znalazły się m.in., album perkusisty Willa Calhouna, związanego z formacją Living Colour. Na krążku zatytułowa-
nym *Life in This World* nagrany z towarzysze-
niem takich muzyków, jak: Ron Carter, Donald Harrison, Wallace Roney, Marc Cary, and Char-
nett Moffett, Calhoun wraca do swoich jazzo-
wych korzeni. Album wydała wytwórnia Mote-
ma. **Zapowiedź płyty »**

Płyta wibrafonisty Joego Locke’a. Na krążku za-
tytułowanym *Lay Down My Heart: Blues & Bal-
lads*, artysta zarejestrował (z towarzyszeniem
kwartetu) interpretacje kompozycji liczne-
go grona autorów – od Billa Withersa po Bonnie
Raitt. **Zapowiedź płyty. »**

Solowa płyta pianisty Eldara Djangirova zatytu-
łowana *Bach/Brahms/Prokofiev*. **Zobacz na-
granie promocyjne »**

14 maja, nakładem wytwórni Mack Avenue, uka-
zała się nowa płyta basisty Christiana McBride’a.
Krążek zatytułowany *People Music*, został na-
grany z udziałem takich muzyków, jak: Steve
Wilson, Warren Wolf, Peter Martin, Carl Allen,
With Guests Christian Sands czy Ulysses Owens,
Jr. Fragmentów płyty można posłuchać na pro-
filu muzyka **w serwisie Soundcloud »**
Zobacz także klip do albumu »

14 maja premierę miała płyta formacji Swinga-
delic, zatytułowana *Toussaintville*. Krążek jest
hołdem złożonym kompozytorowi Allenowi
Toussaintowi, który w styczniu skończył 75 lat.
Album będący fuzją swingującego big bandu
i soul-popu, przypomina największe przeboje
kompozytora: *Southern Nights, What Do You
Want the Girl to Do, Sneaking Sally Through the
Alley* and *Whipped Cream* i wiele innych. Płytę
wydała wytwórnia Zoho Music.

Album formacji Matuto zatytułowany *The De-
vil & The Diamond*, na którym znalazła się mie-
szanka brazylijskiego forro i nowoorleańskiego
bluegrassu. **Zapowiedź albumu »**

Krakowska formacja Bester Quartet wyda w tym roku dwie płyty. Pierwszą z nich będzie krążek DVD zatytułowany **Krakoff**, na którym znajdzie się zapis koncertu formacji w Filharmonii Narodowej w Warszawie w dniu 10 stycznia 2013 roku. Album został opublikowany w dniu 22 maja 2013 nakładem wytwórni For Tune, przy wsparciu finansowym Narodowego Centrum Kultury. Natomiast 18 czerwca ukaże się krążek zatytułowany **The Golden Land**, na którym znajdą się współczesne, instrumentalne aranżacje muzyki Mordechaja Gebirtiga. Płyta ukaże się nakładem nowojorskiej wytwórni Tzadik – Johna Zorna. Oto, co pisze wydawca: „Główny filar ukazującej się od 2000 roku serii Radical Jewish Culture, Jarosław Bester jest jednym z najbardziej uznanych, twórczych i wirtuozerskich muzyków nurtu New Jewish Renaissance. Jego kwartet, dawniej The Cracow Klezmer Band opublikował siedem płyt dla wytwórni Tzadik, w tym dwie, to aranżacje utworów Masada Songbooks Johna Zorna. Bester Quartet podejmuje niezwykle dialog z utworami Mordechaja Gebirtiga, wybitnego artysty tworzącego w języku jidysz niezapomniane pieśni i wiersze jego czasów. Zamordowany w Krakowskim getcie w krwawy czwartek, jego piosenki stały się podstawowym repertuarem w Teatrach Jidysz, który propagowany jest do dnia dzisiejszego. Intensywne i pełne emocji aranżacje Bestera wzbogacają liryczne melodie Gebirtiga o współczesny, artystycznie niepowtarzalny kontekst.”

Wiosenne edycje Cuneiform Records. 21 maja ukazały się: płyta kompozytora, gitarzysty i Richarda Pinhasa zatytułowana **Desolation Row**. Płyta, to powrót artysty do jego artystycznych i filozoficznych korzeni. Jest politycznie obciążona, muzycznie radykalna i artystycznie bezkompromisowa. **Posłuchaj utworu „Circle” »**

Tego samego dnia ukaże się także album formacji S.O.S. [John Surman, Mike Osborne, Alan Skidmore] zatytułowany **Looking For The Next One**. Trio tworzą uznani na Wyspach Brytyjskich muzycy. Na krążku znalazła się mieszanka nagrań studyjnych i koncertowych, w tym ich występ na Balver Höhle Jazz Festival w lipcu 1974 r. **Posłuchaj utworu „Country Dance” »**

Natomiast 4 czerwca ukaże się album formacji São Paulo Underground zatytułowany **Beija Flors Velho E Sujo**. W nagraniu czwartego albumu zespołu wzięli udział: maestro improwizacji, kornecista Rob Mazurek, pochodzący z São Paulo keyboardzista Guilherme Granado i perkusjonista Mauricio Takara. **Posłuchaj utworu „The Love I Feel For You Is More Real Than Ever”.**

Tego samego dnia ukaże się także krążek, założonego w 2007 roku zespołu Blue Cranes, który tworzą: alzysta Reed Wallsmith, tenorzysta Joe Cunningham, keyboardzistka Rebecca Sanborn, basista Keith Brush i perkusista Ji Tanzer. Płyta zatytułowana **Swim**, to odejście od poprzednich, łatwiejszych albumów grupy. **Posłuchaj utworu „Everything Is Going To Be Okay” »**

W maju nakładem ECM ukazał się: *Transylvanian Concert* duetu Lucian Ban / Mat Maneri. Ten pierwszy, to rumuński pianista, debiutujący pod szyldem ECM, ten drugi to amerykański skrzypek, dla którego jest to dziewiąty album w tej wytwórni. Album jest zapisem spontanicznie zorganizowanego koncertu w Targu Mures, rejonie, z którego pochodzi pianista. Znalazła się na nim mieszanka ballad, bluesa i swobodnej improwizacji. *The Gift* – nagrany przez wokalistkę Susanne Abbuehl z towarzyszeniem zespołu, który tworzą: pianista Wolfert Brederode, trębacz Matthieu Michel, znany z płyty *Dark Eyes* Tomasz Stańki perkusista Olavi Louhivouri, jest drugim albumem, który ukazał się w maju nakładem ECM. Na *The Gift* znalazły się nagrania do tekstów Emily Dickinson, Emily Brontë, Sary Teasdale, Wallace’a Stevensa oraz Abbuehl.

23 maja nakładem wytwórni Lado ABC, Narodowego Instytutu Audiowizualnego NInA i Fundacji Rozdroża, ukazała się płyta firmowana przez pianistę Marcina Maseckiego i jego dziesięcioosobową orkiestrę pod nazwą Polonezy. Repertuar krążka *Polonezy* w większości został napisany na początku, a nagrany w grudniu ubiegłego roku. Materiał stanowi mieszankę „trzecioliigowej orkiestry marszowej, 19-wiecznej elegancji, klasycystycznych technik kompozytorskich, nawiązań do surf rocka, hip-hopu, samby, czy jazzu.”

23 maja premierę miała płyta *Second Breath* kwartetu Marhaug/Nilssen Love/Vandenmark. Krążek wydało wydawnictwo Bocian Records.

28 maja ukaże się debiutancka płyta, pochodząca z Seattle, wokalistki Eugenie Jones. Krążek będzie nosił tytuł *Black Lace Blue Tears*, w którego nagraniu wzięli udział znani i cenieni na scenie jazzowej tego miasta – pianista Bill Anschell, basista Clipper Anderson i perkusista Mark Ivester, a w trzech utworach także gitarzysta Michael Powers. Dziewięć spośród jedenastu utworów na krążku, to autorskie kompozycje wokalistki, uzupełnione standardami: „My Funny Valentine” oraz kompozycją Paula Desmonda „Take Five” ze słowami autorstwa Dave’a i Ioli Brubecków.

31 maja ukazał się nowy album legendy czeskiego jazz-rocka, Jazz Q, którego liderem jest pianista Martin Kratochvil. Album *Znovu* zawiera piętnaście utworów, w których przenikają się pierwiastki jazzu, rocka czy bluesa. Na płycie królują ponadczasowe brzmienia elektrycznego fortepianu Fendera i Minimooga Martina Kratochvila, wzbogacone o ciekawe improwizacje gitary (znany z zespołu Impuls Zdenek Fiser), oparte na solidnej sekcji, którą tworzą Przemysław Faulkner (gitara basowa) i Vajco Deczi (perkusja, syn słynnego trębacza, Laco Decziego). Płyta ukaże się w wersji CD oraz limitowanej do 250 sztuk, numerowanej edycji winylowej. W Polsce będzie dostępna za sprawą wydawnictwa GAD Records – przedsprzedaż już ruszyła! Album promuje utwór **„Potopa”, którego można posłuchać tutaj »** Natomiast po wakacjach nakładem GAD Records ukaże się kompletny, wypełniający dwie płyty CD zapis koncertu z lutego 1975 roku, w składzie znanym z albumu *Jazzrockova Dilna*.



26 maja, w rocznicę pierwszego koncertu w poznańskim klubie Dragon, ukazała się płyta duetu An On Bast & Maciej Fortuna zatytułowana *LIVE*.

Posłuchaj fragmentu jednego z utworów »

5 czerwca nakładem włoskiej wytwórni Rare Noise ukaże się krążek formacji Slobber Pup, którą tworzą cenieni muzycy: keyboardzista Jamie Saft, basista Trevor Dunn, gitarzysta Joe Morris i perkusista Balazs Pandi.

Fragmentów płyty można wysłuchać pod tym linkiem »

Na początku czerwca ukaże się nowa płyta pianisty Kuby Stankiewicza. Krążek zatytułowany *Kilar* poświęcony jest twórczości jednego z największych polskich kompozytorów, światowej sławy autora muzyki filmowej – Wojciecha Kilara. „Płyta zawiera dwanaście kompozycji, utrzymanych w spokojnym, balladowym klimacie. Choć są i chwile, gdy melancholijne, filmowe tematy przeradzają się w energiczne improwizacje, osadzone we wspaniałej tradycji jazzowej pianistyki. Wielka kultura, liryczny temperament i dbałość wrocławskiego wirtuoza o sens każdej zagranej nuty, znakomicie korespondują z twórczością Wojciecha Kilara. W tych znanych jak i mniej popularnych filmowych melodiach, zawierają się wszystkie cechy jego stylu: jest romantyczny oddech i piękna melodia, melancholia i beztroška, prostota i subtelność formy.” Płytę wydają V Records i Vertigo Jazz.

7 czerwca ukaże się drugi album działającej w Bay Area formacji Park St. Trio. Krążek będzie nosił tytuł *3 Plus*, co wiąże się z faktem, że do nagrania płyty zespół zaprosił pięcioro gości, w tym puzonistę Dave’a Eshelmana, wieloletniego dyrektora programu the Cal State East Bay. **Płyta jest dostępna pod tym linkiem »**

11 czerwca nakładem Motema Music ukaże się płyta David Murray Infinity Quartet zatytułowana *Army of the Faithful*, w której nagraniu wziął udział wokalista Gregory Porter.

Zobacz zapowiedź albumu »

11 czerwca nakładem Jazz Hang Records ukaże się debiutancka płyta kompozytora Steve’a Lindemana. Krążek zatytułowany *The Day After Yesterday* zarejestrowała orkiestra BYU Synthesis pod dyktando Ray’a Smitha. Większość zarejestrowanych na krążku kompozycji z utworami profesora The Brigham Young University, powstała w trakcie jego uczestnictwa w BMI Jazz Composers Workshop.

9 lipca Preservation Hall Jazz Band wyda pierwszy w swojej pięćdziesięcioletniej historii album z własnymi kompozycjami. Autorami zarejestrowanych utworów są członkowie zespołu: Jaffe, Charlie Gabriel, Rickie Monie i Clint Maedgen, którym pomagali Paul Williams, Dan Wilson i Chris Stapleton. Krążek będzie nosił tytuł *That’s It!* i ukaże się nakładem wytwórni Legacy. Do 12 czerwca można nadsyłać propozycje klipów do tytułowego utworu. **Więcej informacji znajdziecie na stronie www »** Tam także można posłuchać tytułowego nagrania.

9 września ukaże się debiutancki album kwartetu Sons Of Kemet, który tworzą lider saksofonista i klarncista Shabaka Hutchings, tubista Oren Marshall i dwaj perkusiści Tom Skinner oraz Seb Rochford. W nagraniu krążka zatytułowanego *Burn*, a który ukaże się nakładem wytwórni Naim Jazz, udział wziął także gitarzysta Dave Okumu. W muzyce Sons of Kemet pobrzmiewają tradycje muzyki afrykańskiej, arabskiej i karaibskiej, rytmy perkusji Counta Ossiego i jego

Mystic Revelation of Rastafari oraz saksofonu Pharoaha Sandersa. Formacja wystąpiła na Festiwalu JazzArt, podczas Międzynarodowego Dnia Jazzu 30 kwietnia w Katowicach.

Pianistka Geri Allen planuje wydanie nowego albumu. Krążek zatytułowany *Grand River Crossings: Motown and Motor City Inspirations*, to zapis solowego projektu – poświęconego miastu Detroit – z gościnnym udziałem trębacza Marcusa Belgrave'a i saksofonisty Davida McMurray'a.. Jest to czwarta płyta nagrana dla wytwórni Motéma Music, a zarazem ostatnia w cyklu solowych nagrań zrealizowanych w ciągu ostatnich trzech lat. Krążek ukaże się 10 września.

Aga Zaryan pracuje nad nowym albumem. Będzie to hołd złożony Ninie Simone i Abbey Lincoln. Premiera płyty zaplanowana jest na jesień tego roku. Wybierając materiał na nowy album, Aga Zaryan zanurzyła się na wiele miesięcy w muzyce tworzonej przez Ninę i Abbey. Słuchając dziesiątek archiwalnych nagrań, niezapomnianych koncertów, światowej sławy przebojów, ale także utworów mniej popularnych, skrupulatnie wybierała kompozycje, które są dla niej bliskie. Aga Zaryan już wcześniej nagrywała repertuar obu artystek, m.in. kompozycje Abbey Lincoln „Throw it, Away”, która w interpretacji polskiej wokalistki okazała się przebojem. Płyta zostanie nagrana w czerwcu w Los Angeles z towarzyszeniem wybitnych artystów. Już latem odbędzie się kilka koncertów z nowym repertuarem, m.in. podczas festiwalu w St. Moritz. Na jesień zaplanowana jest trasa koncertowa, która będzie promować nowy album w Polsce.



Live duetu An On Bast / Maciej Fortuna

26 maja 2013 r. premierę miała nowa płyta duetu An On Bast / Maciej Fortuna. Album zatytułowany *Live* zawiera zapisy utworów z dwóch wyjątkowych koncertów z 2012 r. Pierwszy koncert dedykowany był wybitnemu polskiemu trębaczowi jazzowemu Andrzejowi Przybielskiemu. Wydarzenie miało miejsce w klubie Pianola w Bydgoszczy dokładnie rok i miesiąc po śmierci artysty (ostatni utwór na płycie jest elektroakustyczną impresją utworu „Afro Blue II” Andrzeja Przybielskiego). Drugi koncert został zarejestrowany we wspaniałym wnętrzu wrocławskiej Synagogi Pod Białym Bocianem, podczas Festiwalu Ambientального w grudniu 2012 roku.

Dla artystów jest to płyta wyjątkowa, bo jak sami podkreślali od początku istnienia projektu, ich muzyka najbardziej promienieje podczas koncertów. Na płycie możemy usłyszeć kilka energicznych kompozycji, utwory downtempo, dużo nastrojowych, ambientalnych melodii, na które niebagatelny wpływ miały miejsca i okoliczności, towarzyszące nagraniu materiału live.

Duet będzie można usłyszeć na żywo tego lata między innymi na Festiwalu Audioriver w Płocku oraz Malta Festiwal w Poznaniu.

[Utwór do odsłuchu »](#)





Organ Spot

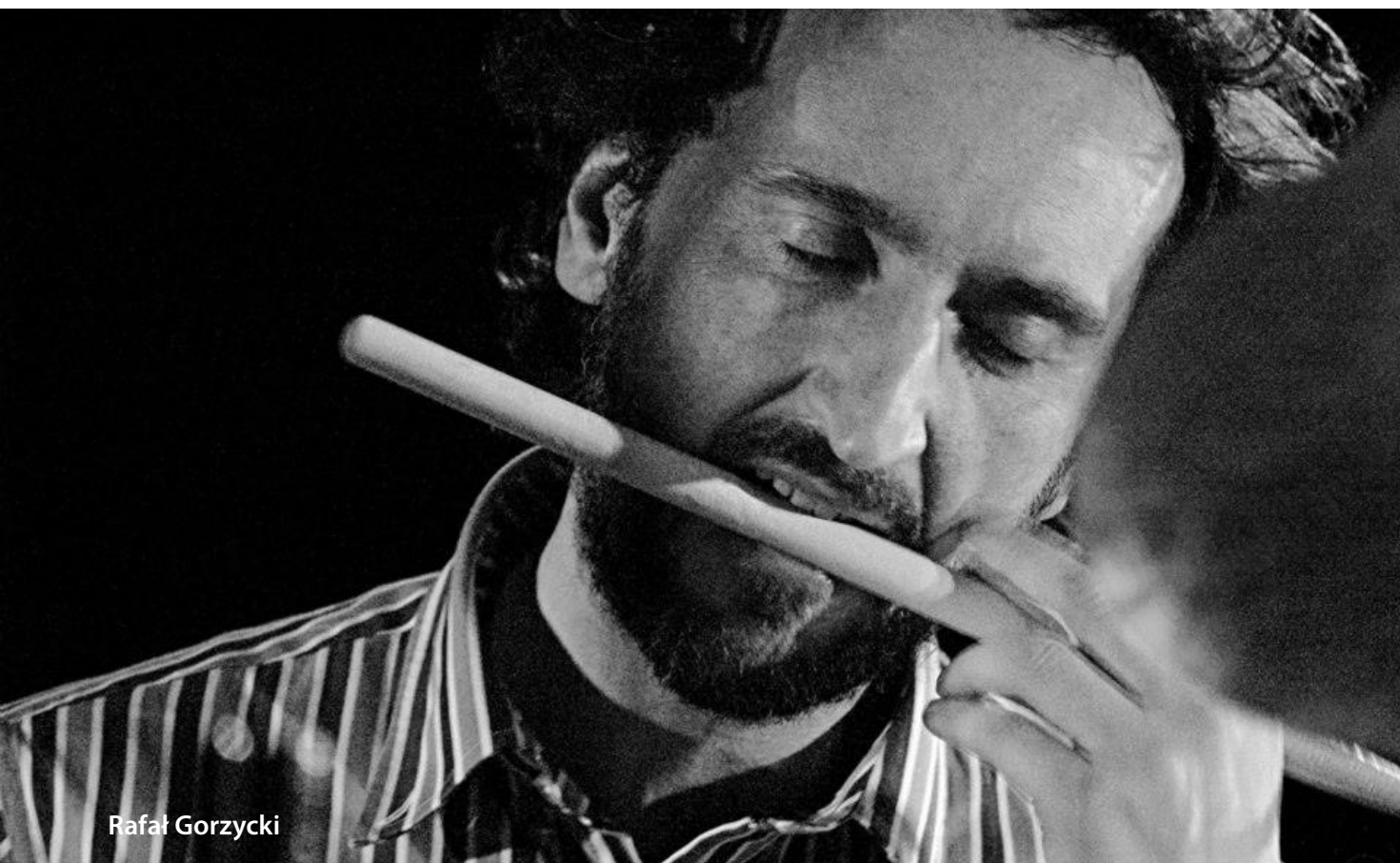
8 czerwca ukaże się debiutancka płyta formacji Organ Spot, zatytułowana tak jak sam zespół. Organ Spot to klasyczne jazzowe organowe trio, bez udziału basisty. Muzyka tej grupy to współczesna szkoła organowa, z ukłonem w stronę starych mistrzów. W repertuarze znajdziemy autorski materiał, współczesne kompozycje, a także standardy jazzowe we własnych aranżacjach. Ich muzyka spotyka się z ciepłym przyjęciem podczas koncertów w Polsce i Europie. Organ Spot to również laureaci międzynarodowych konkursów: Jazz nad Odrą (trzy indywidualne nagrody dla każdego z członków, w tym Grand Prix dla Szymona), Young Best Jazz contest (1. nagroda zespołowa), Azoty Tarnów Jazz contest.

[Zobacz film promocyjny płyty »](#)

[Posłuchaj fragmentu nagrań »](#)



fot. Krzysztof Wierzbowski



Rafał Gorzycki

fot. Marek Hofman

Therapy

Wywiad z perkusistą Rafałem Gorzyckim i gitarzystą Kamilem Paterem o nagranej w duecie płycie *Therapy*.

Ryszard Skrzypiec: O terapii: Kogo i z czego chcecie leczyć?

Rafał Gorzycki: Sądzę, że zarówno Kamil, jak i ja mamy inne spostrzeżenia i doświadczenie w tej oraz w innych kwestiach. Nie jesteśmy bliźniakami ani małżeństwem choć i w nich trudno o jednogłośnieść. Poza tym, nigdy o tym nie rozmawialiśmy, więc będę odpowiadał za siebie.

Leczyć, na pewno, nie chcę nikogo. Nie czuję się ani kompetentny, ani powołany do tego. Jestem świeżo po swojej terapii, więc jeśli mó-

wisz o leczeniu to chcę wspierać siebie samego. Uważam, że nikogo wyleczyć zupełnie się nie da. Można, co najwyżej, wybaczyć i zrozumieć, a potem zaakceptować. Ale każdy musi nad tym ciężko pracować. Ja częściowo już tego dokonałem. Właśnie udało pokonać mi się moje największe demony. Dokładnie jednego!!! Okres ostatniego roku był dla mnie przełomowy: skończyłem psychoterapię, rzuciłem alkohol, przestałem palić, przeżyłem rodzinne katharsis, zmieniłem dietę – zostałem joginem żyjącym w celibacie (hihi) ... Czułem, że moja muzyka, moja gra na perkusji też się zmienia. Upewniłem się w tym słuchając naszego kon-



certu z Kamilem w Bydgoszczy. Jak mówiłem wcześniej, uwolniłem się od demonów po 20 latach walki i szarpania... Cały ten proces był dla mnie ewidentnym skutkiem, konsekwencją sesji terapeutycznych i przemian wtedy we mnie zachodzących. Wiedziałem, że tytuł płyty musi się do tego wszystkiego odnosić. Pierwotna koncepcja to „My Psychoterapy”, ale Kamil zaprotestował i zgodził się na ostateczną wersję Therapy. Więc, jeśli ta muzyka komuś pomoże, to będzie skutek uboczny mojej terapii i wkładu Kamila.

RS: To medycyna czy szamanizm?

RG: Wiesz, idąc moim tropem, to chyba ani jedno, ani drugie. Psychologia nie jest dziedziną medycyny. Z psychiatrią ma niewiele wspólnego..., a szamanizm kojarzy mi się bardziej z upalonymi czarownikami czy quazi oświeconymi buddystami. Wielu ludzi z tych kręgów poznałem i nie widzę w nich niczego wyjąt-



Kamil Pater

fot. Marek Hofman



kowego, czy rozwojowego. Nie ma znaczenia, czy jesteś katolikiem, indianinem, buddystą, komunistą czy okultystą. To wszystko tylko przykrywki. Wszyscy i tak ostatecznie robią to samo – okłamują, zdradzają, porzucają. Ja nie potrzebuje do tego żadnej etykiety (hihi)

Kamil Pater: Medycyna i szamanizm. Medycyna, bo leczymy swoje głowy poprzez radość, która wypływa ze wspólnego grania. Szamanizm, bo jest to swego rodzaju rytuał. Wierzę, że pozytywne myśli, stany są w stanie wyleczyć każdą chorobę.

RS: O duecie: Dlaczego duet? Jakie plany związane z duetem?

RG: Od wielu lat grałem głównie w kwartetach, kwintetach, sekstetach. Zarówno Maestro Trytony, 3 Metry, potem Sing Sing Penelope, Ecstasy Project i A-kineton takie właśnie były/są... Zaczęło mi brakować większego skupienia na konkretnym wykonawcy, brzmieniu, instrumencie.

Bardziej przyziemne aspekty też miały swój wpływ. W dobie kryzysu ciężko jest organizować na sensownych warunkach trasę dla kwintetu. Zmęczyłem się bardzo tworząc muzykę, potem załatwiając kasę na sesję i tournée Ecstasy Project Quintet – They were P, a potem podobną robotą z SSP – This is the Music , vol. 1. (choć muzyka jest wspólna). Jako, że menadżeruję wszystkie projekty, bo ostatnia menadżerka z Krakowa załatwiła 1 koncert przez pół roku, a 2 tygodnie przed występem odwołała go – czasem mam dość logistycznych rebusów.

I tutaj: zwrot akcji w scenariuszu.... z pomocną dłonią pojawił się Mariusz Adamiak, który rozkręcał wtedy Jazzarium Cafe w Warszawie. Jako, że jego scena jest mała, maksymalnie na trio, zapytał się mnie czy nie mam jakiegoś duetu. Wtedy sporo graliśmy z Kamilem i jego A-kinetonem, promowaliśmy płytę, ale tylko on i ja byliśmy na co dzień w Bydgoszczy. Graliśmy próby, zatem, w duecie. Odbiegały one coraz bardziej repertuarowo i brzmieniowo od A-kinetonu. Zaczynało to być intrygujące i powiedziałem Mariuszowi, że mamy duet z Kamilem. Zagraliśmy kilka koncertów, czego zwieńczeniem jest koncertowy album Therapy nagrany podczas Festiwalu Drums Fuzje w Bydgoszczy w listopadzie 2012. Koncert ten nie był nagrany w celu realizacji płyty live, tylko dla naszego archiwum i celów badawczych... Kiedy po jakimś czasie o tym sobie przypominałem i posłuchałem materiału, wiedziałem, że właśnie nagraliśmy płytę. Kamil na początku nie podzielał mojego entuzjazmu, ale w końcu przekonał się i uległ moim talentom dyplomatycznym i baraniemu uporowi (hihi). Uważam, że to jest bardzo dobra płyta i świeża, aktualna muzyka, a wykonawczo, perkusyjnie – moja, chyba najlepsza. Kamil jest wspaniałym gitarzystą o szerokich horyzontach i nieograniczonych możliwościach. Ten duet spotkał się w idealnym czasie.

Kiedy wiedziałem już, że będzie chleb z tej maki, napisałem od razu duży projekt do MKiDN na stypendium „Duety do Mety”. Obejmuje on trasę koncertową Therapy na jesień 2013 w Polsce i początek 2014 w Europie. Wykorzystałem też dobrą passę kameralną i dołączyłem do wnio-

sku drugi projekt, drugiego duetu, tym razem ze skrzypkiem. Moim numero uno polskiej wio-
linistyki, mieszkającym w Norwegii Sebastianem
Gruchotem. Artystą kompletnym, z którym już
współpracowałem w Sing Sing Penelope. Arty-
stą, od którego Adam Bałdych mógłby się jeszcze
sporo nauczyć (hihi). Będzie to album bardziej
współczesny, czy awangardowy w klasycznym
znaczeniu i już nie mogę się doczekać sesji (po-
czątek lipca 2013). Chciałem, aby oba te albu-
my łącznie zawierały pełną i kompletną analizę
i prezentację współczesnej kameralistyki impro-
wizowanej. Premierę Experimental Psychology
planujemy na jesień 2013r. Z Kamilem gramy
potem dużą trasę Therapy: 15 koncertów w Cze-
chach, Austrii, Słowacji i Niemczech. Nudy nie
ma (hihi). Poza tym, z Kamilem mamy już ma-
teriał na 2 płytę naszego duetu i to jest kolejny
strzał w 10.; tylko na innej strzelnicy... Więcej
nie powiem :-)

KP: Osobiście potrzebowałem możliwości szer-
szej wypowiedzi, a duet mi na to pozwala. Lu-
bię różne formy gry i szukam coraz to nowych
rzeczy, a duet to dla mnie nowe wyzwanie

Moja gra w Contemporary Noise Sextet, Dzi-
kim Jazzie czy A-kinetonie jest z reguły oparta
na jakimś konkretnym temacie, zamkniętym
w określonej aranżacji. W tej formie duetu mam
wolność. Za każdym razem mogę opowiedzieć
inną historię albo tę samą, ale w zupełnie inny
sposób. To powoduje, że nigdy nie wracam do
tego samego miejsca, a cały czas odkrywam
nowe. Jest to strasznie wciągające.

**RS: O płycie: jak można zostać posiadaczem wydaw-
nictwa, które właściwie jest chałupniczą robotą?**

RG: Obserwując rynek jazzowych płyt CD w Pol-
sce, regularnie otrzymując raporty sprzedaży
od dystrybutorów oraz widząc światowe trendy
sprzedaży muzyki w plikach, po raz pierwszy
podjęliśmy decyzję o nie tłoczeniu klasycznego
albumu CD. Wyniki są tak niesatysfakcjonują-
ce, że podjęliśmy to ryzyko i album jest głównie
dostępny w internecie w postaci plików. Itunes,
Amazon, Bandcamp, Serpent, Spotify – do wy-
boru, do koloru... Wiedząc jednak, że jest gro-
no maniaków, którzy chcą mieć fizyczny album,
przygotowaliśmy limitowany, manufakturowy
nakład 200 CD dostępny na Serpent.pl i Allegro.

KP: Płyty to rzeczywiście chałupnicza robota
w wykonaniu Rafała. Wiedzieliśmy, że mate-
riał nagrany jest w dobrej jakości i chcieliśmy
go wypuścić w świat. Można było go wrzucić
w internet, ale wiemy, że nie wszyscy jeszcze
słuchają muzyki z komputera, więc jak ktoś
chce mieć u siebie płytę CD to może ją mieć, do
tego wykonaną przez Rafała. Płyty dostępne są
w sklepie internetowym Serpent.pl

**RS: Czy będzie można posłuchać tego programu na
żywo?**

RG: Wiesz, napisałem 2 duże projekty do
MKiDN oraz Marszałka Województwa Kujaw-
sko-pomorskiego na promocję duetów z Ka-
milem oraz Gruchotem. Rozstrzygnięcie na
dniach. W czasach kiczu i tandety muzyka am-
bitna nie cieszy się dużym zainteresowaniem,



Pod naszym patronatem



Rafał Gorzycki

fot. Marek Hofman

tym bardziej będąc z prowincji i nie liżąc tyłków w stolicy, a wręcz je szczypiąc (hihi) Tak, czy inaczej, bez względu na wyniki, gramy jesienią Therapy po Polsce, w tym na kilku festiwalach, a zimą, jak już wspominałem, ruszamy w duże tournée po Europie.

KP: Na pewno zagramy kilka koncertów w Polsce. W najbliższym czasie będzie nas można usłyszeć w Bydgoszczy (26 lipca). W lutym 2014 roku mamy kilkanaście koncertów w Czechach, Słowacji i Austrii. Później praca nad kolejną płytą. Wiele prób nagrywamy i mamy sporo wyimprowizowanych melodii, który nadają się do wykorzystania, więc kto wie, może kolejna płyta będzie zaaranżowana.

RS: O kampanii promocyjnej: zanim płyta ujrzała światło dzienne przez dłuższy okres wciągaliście potencjalnych słuchaczy w zasadzkę, powoli dawając informacje na jej temat. Skąd pomysł na taką promocję?

RG: Zawsze jest tak, że praca nad płytą wymaga totalnego poświęcenia czasu, energii, skupienia. Kiedy jest już wszystko gotowe załatwiasz tłocznię, poligrafię, dystrybucję i jesteś już tak zmęczony, że nie masz siły (nie działałam na wzmacniaczach) na myślenie o promocji. Ostatnim tchnieniem robisz trasę i umierasz :-). Nie dotyczy to może artystów spod znaku majorsów. W tym konkretnym przypadku było inaczej. Płyta była gotowa już po koncercie, mix trwał jeden dzień, a kwestie tłoczni nie istniały, bo album

ma głównie dystrybucję cyfrową. Okładkę płyty przygotował świetny artysta Krzysztof Gruse, więc i ten problem odpadł. Okazało się, że mamy dużo czasu do premiery, którą przygotowaliśmy na urodzinowy koncert Bydgoszczy w Operze Nova. Jako, że słowo nuda nie występuje w moim słowniku, zacząłem kombinować jak tu zainteresować ludzkość naszą płytą, bo tylko dobrą muzyką już się nie da (hihi).

Jestem kinomaniakiem i filmomaniakiem, kiedyś interesowałem się marketingiem i reklamą. Od jakiegoś czasu mam smartfona i kręcę oraz pstrykam dużo. Kiedy Gruse przesłał mi projekt okładki przypomniały mi się moje filmiki ze spacerów w lesie. Wiedziałem, że to jest to i idealnie pasuje do Doveru, a także nastroju albumu, tym bardziej kiedy odwrócisz kadr do góry nogami lub rozszerzysz go do bólu (hihi)

Ludzi zawsze intrygowały tajemnice, zagadki, rebusy – My, po prostu, zrobiliśmy to z artystycznym sznytem.

Ale chyba nie podbiliśmy serc gawiedzi. Właśnie nie otrzymałem pierwsze raporty sprzedaży. Jest taka przypowieść mówiąca, że im album ma lepsze recenzje, tym gorszą sprzedaż. Therapy ma bardzo dobrą prasę....

KP: W dobie Spotify, natłoku coraz to nowych wydawnictw ciężko jest się przebić bez reklamy. Ludzie nie mają czasu słuchać trailera, czy pojedynczych utworów, a co dopiero gdy muzyka jest wymagająca i potrzebuje skupienia. Jest to próba podania słuchaczowi trudnej muzyki w bardziej przystępny sposób.

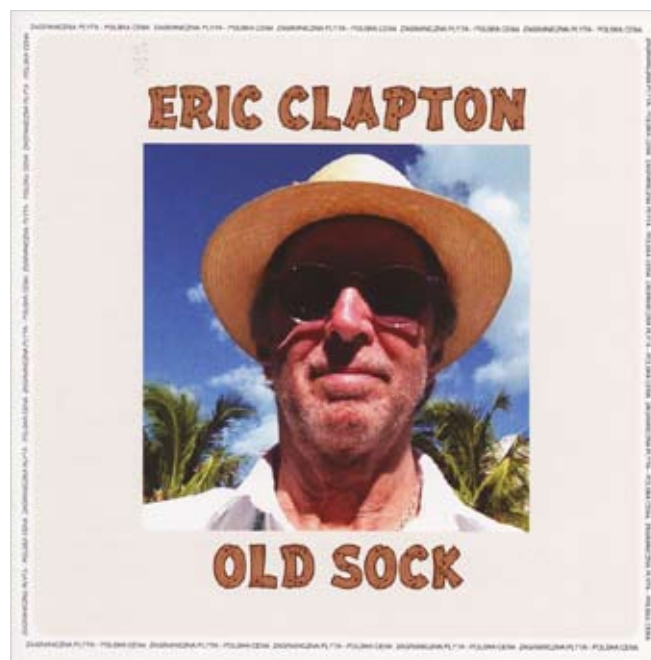
radioJazz.fm



fot. Bogdan Augustyniak

Eric Clapton – *Old Sock*

Postać Erica Claptona jest mitem we współczesnej muzyce rockowej. Jego osoba przyczyniła się w dużym stopniu do jej rozwoju. Karierę zaczynał, jako 17-latek w zespole The Roosters. Potem, przez dwa lata grał w The Yardbirds, następnie u Johna Mayalla i jego Bluesbreakers. To właśnie wtedy, na ścianach londyńskiego metra zaczęły się pojawiać graffiti z napisem „Clapton is God”. Po rozstaniu z The Bluesbreakers, Clapton wszedł w skład super grupy Cream, jednego z najlepszych zespołów swoich czasów. Na przełomie lat 60. i 70. założył dwie fantastyczne super formacje Blind Faith i Derek & The Dominoes. Wówczas to, powstał największy bodaj, przebój Claptona „Lyla”, którego inspiracją była nieszczęśliwa miłość artysty do Patti Boyd – Harrison, żony Beatlesa George’a Harrisona. Kontynuując doświadczenia ciemnoskórych gitarzystów bluesowych (Muddy Waters, Howlin’ Wolf, John Lee Hooker, Albert King i B.B. King), stworzył nowy rozdział w historii gry na tym instrumencie. Nadał gitarze nieznane jej dotąd ciepło brzmienia i ostrość rytmiki. Jak nikt dotąd, Clapton połączył nostalgiczną śpiewność bluesa z żywiołowym rock and rollem. To wszystko można odnaleźć też na najnowszej płycie *Old Sock* (Stara skarpeta). Z historią tego tytułu podzielił się w jednym z wywiadów sam Clapton, który zachwycił się nowym nagraniem Davida Bowie. Za pośrednictwem internetu obasył kolegę po fachu komplementami. Bowie odpisując na miłe słowa, nazwał go pieszczotliwie „Starą skarpeta”. Clapton nie obrażając się, wykorzystał „Old Sock”, jako tytuł swojej najnowszej płyty. Zagorzali fani Claptona sądzili



wydawnictwo: Polydor/ Universal Music Polska

zapewne, że odnajdą na tej płycie paradę fantastycznych zagrywek gitarowych. Tymczasem muzyk pokazuje liryczną, zamyśloną, a nawet nostalgiczną stronę swojej osobowości. Zawarł na niej standardy z epoki swingu, a każdy z tych 12 utworów przepojony jest nutką melancholii. Album otwiera kompozycja Taj Mahala „Further On Down The Road”, zagrana w stylu reggae, w którym słychać grę na bębnach Steve’a Gadda, grającego na instrumentach klawiszowych Chrisa Staintona, a w chórkach udziela się wokalnie Sharon White. To jeden z przebojowych kawałków na płycie. W kompozycji J.J. Cale’a „Angel”, tuż obok Claptona z gitarą, słyszemy wokal samego J.J. Cale. Te dwa utwory to sentymentalne powroty do przeszłości, do czasów młodości Erica Claptona. Znalazły się na tej płycie ze względu na miłe, pełne znakomitości towarzystwo, m.in. perkusisty Steve’a Gadd’a

i pianisty Chris'a Stainton'a. W „All of Me” słysząc grającego na basie i śpiewającego Paul'a McCartney'a. „Gotta Get Over”, to murowany hit tej płyty, w którym w chórkach słyszymy Chaka Khan. Do muzyki reggae Clapton zawsze miał sentyment, tym razem wziął na warsztat kompozycję Petera Tosh'a – „Till Your Well Runs Dry”, która brzmi wyśmienicie. Jednym z gości tego albumu jest klawiszowiec Steve Winwood, nierozstający się z organami Hammonda B3, który i tym razem przepięknie zagrał w „Still Got The Blues”. Clapton podszedł do tego utworu jak do swoistego standardu, z którym chciał się zmierzyć. Oddając hołd Gary'emu Moore'owi, zagrał i zaśpiewał ten kawałek zupełnie inaczej. Sięgnął też po stary blues Huddie Ledbetter'a i John'a A. Lomaxa – „Goodnight Irene”. Miłym akcentem jest odświeżona już nieco zapomniana kompozycja Otisa Reddinga – „Your One Only Man”. Clapton ma wielki sentyment do dawnych przebojów, czego wyrazem jest repertuar przygotowany na ten album. Mimo to potrafi przemaszować własnym głosem. Kiedy gra cudze utwory, wydobywa z nich coś osobistego. W kompozycji Doyle'a Bramhall II, Justina Stanleya i Nikka Costa „Every Little Thing”, śpiewa ten utwór z niebywałą lekkością. Producentami tego albumu przepełnionego Claptonowym duchem – obok artysty – są również dwaj pierwsi muzycy. Już na sam koniec Sir Eric sięga po stareńką kompozycję braci Gershwinów (George'a i Iry) „Our Love Is Here To Stay”, którą gra w stylu muzyki country. Zaśpiewał tę pieśń z przekonaniem oddając w niej całe swoje serce.

Zrecenzował: Andrzej Patlewicz

radioJazz.fm



fot. Krzysztof Wierzbowski



Madeleine Peyroux – *The Blue Room*

Należy do tych wokalistek, które wiedzą, co chcą śpiewać, pozyskując sobie przy tym rzesze fanów. Na debiutanckiej płycie *Dreamland*, nagranej z jazzowymi muzykami, wokalistka zmierzyła się ze standardami Billie Holiday, Patsy Cline czy choćby Bessie Smith. To dzięki tym fantastycznym interpretacjom artystka zdobyła popularność i zaproszenia na wielkie prestiżowe festiwale.

Jednak najlepiej czuła się w małych, przytulnych klubach, gdzie mogła wyjść na scenę akompaniując sobie na gitarze i zaśpiewać czy to swoje piosenki, czy to wielkie francuskie przeboje – niczym Edith Piaf („La vie en rose”) lub Josephine Baker („J’ai deux a amours”). Później sięgała po piosenki Leonarda Cohena, Boba Dylana – tak było na płycie *Carless Love* (2004), którą wyprodukował Larry Klein (mający na swoim koncie wiele wspaniałych albumów zapoczątkowanych współpracą z Joni Mitchell).

Madelaine Peyroux – przygotowując swój album – podobnie jak Joni Mitchell starannie dobierała repertuar składający się ze znanych utworów. Na *The Blue Room* znalazło się 10 kompozycji, a wśród nich jej własne wersje kilku piosenek pochodzących z legendarnego i zarazem przełomowego albumu Raya Charlesa z 1962 roku *Modern Sounds In Country & Western Music*. Sięgnęła też po piosenki amerykańskich klasyków, m.in. Leonarda Cohena, Randy’ego Newmana, Buddy’ego Holly’ego. Wokalistka otwiera album szybkim nagraniem „Take These Cha-



wydawnictwo: Decca/ Pennywell Productions/ Universal
Music Polska

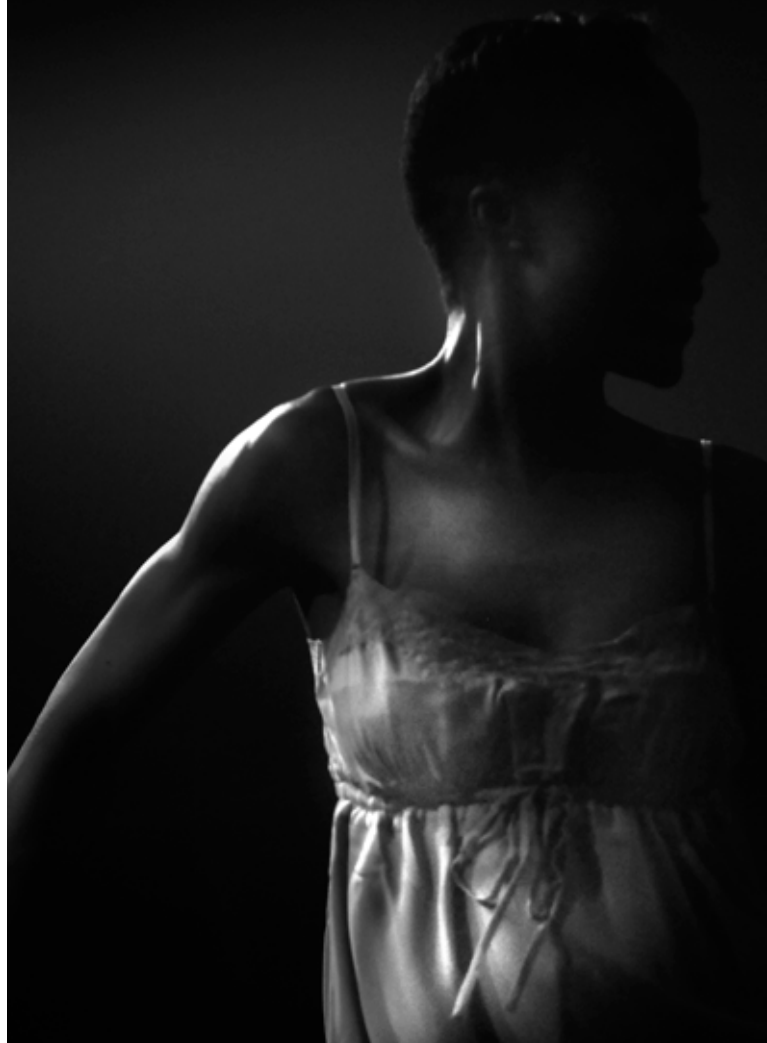
ins From My Heart”, po którym pojawia się „Bye Bye Love”, zaśpiewany przez Madeleine znacznie wolniej niż ma to miejsce w oryginale. Mimo iż nie ma mocnego głosu na miarę Elli, to potrafi eksperymentować i pokazać siebie w uroczy sposób w nagraniach: „Born To Lose”, „Guilty” czy „Bird On The Wire”. W tych dwóch ostatnich słychać, z jakim pietyzmem zostały zaaranżowane partie smyczków przez Vince’a Mendozę. Tylko on potrafi tak zmysłowo aranżować, a Madelaine subtelnie je interpretować. Rozślawiony przez Wielkiego Ray’a „I Can’t Stop Lovin You”, w jej ustach brzmi zupełnie inaczej, bardziej countrowo. Odważyła się włączyć również ten utwór na płytę i był to dobry pomysł. Oszczędne instrumentarium to domena jej nagrań, podobnie jest i na tej płycie. W „Gentle On My Mind” i „You Don’t Know

Me” Peyroux prowadzi swoją wokalizę niczym niezapomniana Holiday. Śpiewa z olbrzymim zaangażowaniem, co dodaje krążkowi jeszcze większej autentyczności. Przydymionym, matowym głosem wyśpiewuje osobiste wyznania w zamykającym płytę utworze „Desperadoes Under The Eaves”, tak jakby dosięgnęły ją w przeszłości straszne nieszczęścia.

Zamiłowanie do nostalgicznych piosenek objawiła już na debiutanckim albumie. Teraz po latach, posiadając bogaty dorobek, zachwyca swoją muzyczną osobowością i nowymi piosenkami, których słucha się przejmująco, a zarazem z wielkim smakiem.

Opracował: Andrzej Patlewicz

radioJazz.fm



fot. Krzysztof Wierzbowski



Tomasz Szukalski – *Tina Kamila*

Nie jest to jeden z tych albumów Szukalskiego, kiedy przy pierwszym odsłuchu włosy na rękach jeżą się w klucze wiolinowe. Zresztą pierwszego odsłuchu już nawet nie pamiętam. Jednak jestem pewien, że to płyta, która przynosi kompromis. Fani Tomasza Szukalskiego, obojętnie czy najbardziej ceniący okres ostrego free, czy okres bluesowego duetu z Januszem Szprotem, spotykają się tutaj – w połowie drogi – przy *Tina Kamila* podają sobie ręce i wspólnie zachwalają mistrza.

Longplay wydany w 1986 roku przez Polskie Nagrania, został w tym roku wznowiony na nośniku CD. Wznowiony w pełnym tego słowa znaczeniu. Bez niemal żadnej ingerencji graficznej, co już szczerze mówiąc, nie jest dla nas nowością. Tak więc przeczytać *liner note'a* udało mi się dzięki posiadaniu czarnej płyty; na reedycji czcionka jest dla mnie naprawdę za mała... W tym opisie nikt inny jak Tomasz Tłuczkiewicz – doskonały w tej roli – słusznie zauważa, że jest to debiut Tomasza Szukalskiego. Debiut? Przecież po drodze do roku 1986 były płyty z Namysłowskim, The Quartet, ze Stańką, SBB czy Time Killers. No tak, ale debiut pod własnym nazwiskiem. Zespół tytułowany jako Tomasz Szukalski Quartet dopiero miał się pojawić na scenie. I cóż na tym dojrzałym fonograficznym starcie słyszymy? Standardy – jak to często z debiutami bywa – plus po jednej kompozycji od Jana Ptaszyna Wróblewskiego, Bronisława Suchanka i samego lidera. No to wkładamy elegancką płytę do odtwarzacza, bo długo do tego materiału nie wracałem...

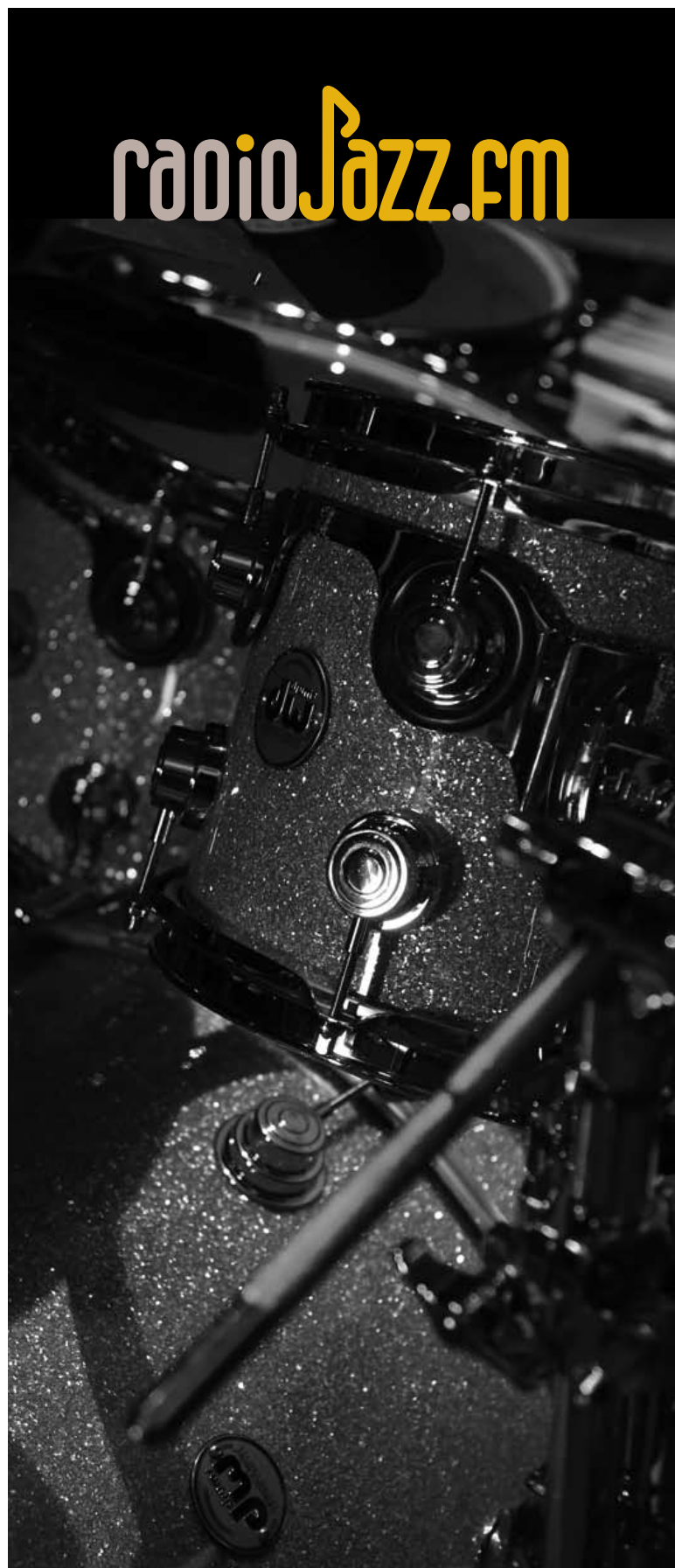


Zaczyna brzmieć 10 krótkich kompozycji zaaranżowanych przez Ptaszyna Wróblewskiego, a wykonanych przez towarzyszącą soliście Grand Standard Orchestra z sekcją rytmiczną w składzie Karolak/Oleszkiewicz/Bartkowski. Aranżacje są charakterystyczne; snujące się smyki, płasający fortepian, dodające smaczku flety poprzeczne, przyjemne podejścia i zejścia na początku i końcu każdej formy, tak naprawdę są to aranżacje muzyki rozrywkowej. Taką też funkcję może pełnić omawiany krążek. Jest oczywiście pięknie! Prawda jest taka, że wystarczy zamiast saksofonu wstawić partię wokalną Igi Cembrzyńskiej, czy Kaliny Jędrusik i... kłops – wbrew pozorom jest tutaj co sieprzyć. Cała uwaga słuchacza niezakłócenie skupia się na soliście. Jednak Szukalski to solista jakich mało, dźwiga przyszykowaną sztangę repertuarową właściwie bez mrugnięcia okiem. Dzięki niemu aranżacje bronią się bez skazy, wydają się idealne. Choć moimi ulubionymi momentami krążka są „Tina Kamila”, w której lider, a zarazem kompozytor pozostawił sobie jeszcze więcej miejsca niż w pozostałych utworach oraz bajeczna ka-

dencja kończąca kompozycję Ptaszyna – „Dolej Olej”. Cały album wypełniają soczysta fraza, ciepłe brzmienie mieszczące momentami niezwykle dużo powietrza, doprowadzona do perfekcji artykulacja, z której słychać saksofonista i delikatne wysoki, poza pozornie potulnie ułożone improwizacje. Właściwie jest to materiał szkoleniowy. Co można zagrać, by zmieścić jak najwięcej szlachetnego jazzowego saksofonu, jednocześnie nie wchodząc w czyjąś skórę – pozostając sobą? Solista tchnął życie w gotowe aranże, nadał charakter – swój własny, niepodrabialny sznyt. Kiedy porównuję różne pozycje z całej dyskografii Szukalskiego, zaskakuje mnie jego elastyczność, która nie wpływa na indywidualny styl. Zawsze jesteśmy w stanie rozpoznać Szakala i nie chodzi tu tylko o brzmienie jego saksofonów, ale także, a właściwie przede wszystkim, o frazowanie. Nie ma znaczenia czy tnie powietrze z Vesalą, czy szyje Benem Websterem ze smykami orkiestry Ptaszyna. Lider opowiadał, że pomysł na płytę wyszedł od Ptaszyna Wróblewskiego, a on tylko przyjął propozycję. Dobrze, że to zrobił. Płyta jest artystycznym sukcesem, a obawiam się, że zmiana solisty mogłaby tym sukcesem niebezpiecznie zachwiać. My natomiast znamy kolejne wcielenie jednego z największych.

Oczywiście jak każda reedycja tak i *Tina Kamila* daje nadzieję, że albumy sprzed wielu lat mogą zagościć w dzisiejszych Empikach, co teoretycznie pozwala zwiększać liczbę odbiorców doskonałej muzyki. Może warto pójść z duchem czasu i odgrzać stare nagrania w sposób legalny w chmurze internetu?

Roch Siciński



fot. Bogdan Augustyniak



Przystanek Szymanowski

Droga, jaką grupa RGG przebyła przez 12 lat istnienia, była owocna w świetne nagrania i także koncerty. Nie należała do krętych i była mało kontrowersyjna. Tak naprawdę, zespół przemieszcza swoją wydeptaną przez te lata ścieżkę, nie oglądając się za siebie, nie kręcąc głowami na boki. Są konsekwentni i robią swoje. Zespół trwa jakby był nad wszystkim, co w ciągu 12 lat w polskim jazzie się zmieniało, kotłowało, rodziło nowe i zabijało stare. Jest to wartościowa umiejętność istnienia w czasie, kiedy długotrwałe projekty, stałe zespoły są *towarem* deficytowym, o czym pisałem nie raz i czego bardzo nam brakuje. Teraz na drodze pojawiło się rozwidlenie, w stronę którego poprowadził Przemysław Raminiak – pierwsze w ich historii, stawiające znaki zapytania, budzące ciekawość odbiorców. Krzysztof Gradziuk i Maciej Garbowski zaprosili w swoją podróż nowego kompana – Łukasza Ojdane i już cała trójka jedzie dalej. Pierwszy wspólny przystanek, to *Szymanowski*. Materiał, jaki trio zarejestrowało na początku bieżącego roku, album który premierę miał w zeszłym miesiącu.

Tak też do naszych rąk trafia estetyczne wydawnictwo. Muzycy w muszkach (choć nie tylko i wyłącznie!) zapraszają nas do poznania muzyki inspirowanej twórczością Karola Szymanowskiego. Kiedy już wysłuchamy materiału, zdajemy sobie sprawę, że bez znaczenia jest fakt, iż w spisie utworów znajdziemy trzy utwory pióra Macieja Garbowskiego, a pozostałych dziesięć jest interpretacją kompozycji Karola Szymanowskiego. Ponieważ cała muzyka wypalona



na srebrnej stronie krążka jest jedną wielką inspiracją, interpretacją, a tak serio – pretekstem. Pretekstem by zagrało RGG, by zagrało swoją muzykę. Dźwięki selektywnie dobierane, jakby z dużym namysłem, rozważne, ale nie przeintelektualizowane. Specyficzna atmosfera płyty pochłania nas i delikatnie prowokuje do zatopienia się w świat muzyki takiej, jak ją słyszy trio. Dwójka bardzo doświadczonych, można powiedzieć *topowych*, jazzmanów naszego podwórka Garbowski i Gradziuk, gdy spotykają się muzycznie, są monolitem. Miks ich dojrzałości, zgrania i szerokiej percepcji muzycznej w połączeniu z siłą i świeżością Łukasza Ojdany pozwala RGG trwać dalej, ciągle podnosząc artystyczną poprzeczkę. Dwóch artystów znających się jak łyse konie i nowy pianista w składzie. Kto by to zauważył? Przecież muzycznie Ojdana nie jest żadnym dwudziestolatkiem... Nie można go jednak nazwać czarnym koniem, bo tu nie ma nikogo z przodu. Zasady funkcjonowania zespołu nie zmieniły się znacząco. Nadal słuchając muzyki nie zastanawiamy się kto

może być liderem, kto ma więcej miejsca, kto jest bardziej niezbędny i czy ktoś do tego składu nie pasuje. To jest materiał finalny. Nie można go zmieniać, nie można go zagrać lepiej lub gorzej. Specyficzny charakter, grubą czcionką zapisanej na kartach współczesnego jazzu formacji, budzi w nas konkretne uczucia. Albo nie trafia do naszego gustu, albo pozwalamy się tej sztuce ponieść. W drugim przypadku, czekając na kolejne pozycje w dyskografii pozostajemy z nimi na lata, bądź uzupełniamy zaległości sięgając po poprzednie albumy.

Ta układanka personalna zbiera muzyczne puzzle w całość. Nie przyczepiamy się do brakujących elementów. W tym gatunku pasuje wszystko, co w *Szymanowskim* podane jest – według mnie – w odpowiednich proporcjach; cisza, niemal intymne granie Garbowskiego (co za postać!), przeplatane momentami wręcz gorliwym fortepianem Ojdany i umazane równoprawną perkusją Gradziuka. Jeśli patrzę w tę stronę polskiego jazzu, jeśli chcę wejść w tę stylistykę, to patrzę na RGG, zwyczajnie robią to nieźrównanie i nadal coraz lepiej. Może jeden album to trochę mało, by oceniać nowego kompana, wydaje mi się jednak, że panowie dobrze się dobrali i zwyczajnie, nie oglądając się za siebie, nie kręcąc głowami na boki – pojechali dalej. Nie pozostaje nic innego, jak życzyć im szerokiej drogi...

Roch Siciński



radioJazz.fm

fot. Bogdan Augustyniak

Karo Glazer – *Crossing Projects*

To już drugi autorski album młodej, uzdolnionej wokalistki, która – podobnie jak przed laty Urszula Dudziak – eksperymentuje głosem, przetwarzając go elektroniką. Płytą *Crossing Project* Karo (Karolina) Glazer przekracza granice między gatunkami muzycznymi i to wyraźnie słychać na najnowszym krążku, powstałym w różnych miejscach Europy i Ameryki. Do realizacji płyty (marzeń) wokalistka zaprosiła wielu znakomitych muzyków ze światowej półki, m.in. Johna Taylora i Larsa Danielssona, dla którego napisała dwa utwory. W pierwszym – „Deep Breath” – znalazło się około 40 nałożonych głosów. W drugim – „Over the Shiny Sky” – Danielsson gra już wielowarstwowo na wiolonczeli. Gitarowe sola, jakie pojawiają się w „Voice on Fire” i „Flying Circle” należą do Mike’a Sterna, który nagrał swoje partie na Manhattanie. Dwa kolejne sola do utworów „Flying Circle” i „A Lonely Woman’s Work” dogrywał w Polsce, mieszkający na stałe w Hiszpanii, saksofonista Andrzej Olejniczak, a także kwartet smyczkowy z Filharmonii Monachijskiej. Karolina od kilku lat związana z monachijską sceną jazzową, nie zapomniała o tamtejszych muzykach jazzowych i to tej klasy, co Klaus Doldinger (podpora zespołu Passport), z którym nagrała „Prelude” przechodzący w „Over the Shiny Sky”, gdzie na tle kwartetu smyczkowego Doldinger improwizuje solo. Jego gra bardziej przypomina klimaty nacechowane muzyką etno. Obecność innego niemieckiego muzyka, znakomitego trębacza Joo Krause’a, jeszcze bardziej ubarwiła ten album. Kraus to także świetny kompozytor. Jego nazwisko kojarzone jest z formacją Tab Two.



wydawnictwo: Kompania Muzyczna Pomaton/EMI Music Poland

Wokalistka napisała na ten album 8 wyczyszczonych i finezyjnie podanych utworów, z których każdy brzmi zupełnie inaczej. Muzyka, jaką wymyśliła Karolina Glazer jest pewną całością. Potraktowała ją jak stworzenie baśni swojego muzycznego świata. W tym świecie Karo Glazer znakomicie odnaleźli się też polscy muzycy: Andrzej Zielak, Marek Napiórkowski, Przemek Kuczyński i Krzysztof Ścierański. Otwierający „Voice On Fire” pulsuje bogactwem dźwięków, słychać misterną grę samego Sterna, jak i Tomasa Sancheza. Znacznie spokojniejszy jest „Love Again”, w którym wokalistka używa już słów. To najmniej jazzowy utwór na płycie. Tekstem o miłości buduje nastrój, w którym równoprawnym instrumentem jest jej głos, w tle muskający kontrabas i pieśzcotliwie dotykany palcami fortepian, zaś w oddali pojawiający się dźwięk trąbki. „Distance”, który powstał w Finlandii, już w pierwszych dźwiękach fortepianu przywołuje

skandynawski spokój. Oddaje w nim puste, północne przestrzenie. „The Magic of Life” jest najbardziej przebojowym i najlżejszym utworem, którego współtwórcą jest Krzysztof Ścierański. To współczesna u jazzowiona salsa i na dodatek bardzo zabawna. Już na samym wstępie kompozycji można doszukać się inspiracji tematem „Looking Up” Michaela Petruccianiego – pojawiają się tutaj podobne frazy. Wzbogacona została też o piękne solo na flugelhornie przez Joo Krausa i fortepianową grę Johna Taylora. Krzysztof Ścierański jest autorem jeszcze jednego utworu „The Moon, You And I”. To piękna, delikatna i zarazem kobieca ballada. Na gitarze basowej zagrał sam kompozytor, na gitarze Marek Napiórkowski, na kontrabasie Andrzej Zielak, na fortepianie John Taylor, a solo gitarowe wykonał Mike Stern. Zamykający album „Prelude/ Over The Shiny Sky”, napisany został specjalnie dla Klausa Doldingera. Obok niego pojawia się kwartet smyczkowy i głos Karo Glazer śpiewającej tzw. glissando. Kiedy zaczyna się temat „Over The Shiny Sky”, utwór zmienia trochę swój charakter. To duża zasługa Tomasza Sancheza grającego na darbuce (arabskim instrumencie perkusyjnym). Ta kompozycja ma wiele zwrotów akcji. Każdy z muzyków zagrał tu parę genialnych solówek, a głos Karo Glazer unosi się ponad nimi. Śpiewa, tak jak to sobie wymyśliła, lecąc samolotem ponad błyszczącym niebem. Na końcu płyty po parosekundowej przerwie znalazł się ukryty 10 track, będący przepiękną kołysanką „Rosemary’s Baby” Krzysztofa Komedy. Utwór ten doczekał się dziesiątek, jak nie setek wykonania. Karo Glazer zaśpiewała go zupełnie inaczej, zachowując linię melodyczną, z przepiękną narracją kontrabasu Larsa Danielssona.

Walorem tego albumu jest świetny mix doszlifowany przez genialnego amerykańskiego producenta Martina Waltersa (odpowiedzialnego za produkcję albumów m.in. Spyro Gyra, Esperanzy Spalding czy Terri Lyne Carrington). To prawdziwy majstersztyk. Słysząc, że płyta błyszczy od nazwisk i pomysłów Karo Glazer, a spotkanie każdego z muzyków – współtwórców sukcesu – nie było drogą przypadku.

Zrecenzował: Andrzej Patlewicz



Gorzycki/Pater – *Therapy*

Terapia to proces przywracania dobrostanu. Jednym z terapeutycznych narzędzi może być – bez wątpienia – muzyka. Najprawdopodobniej takiej jej funkcji nie wykluczają również Rafał Gorzycki i Kamil Pater. Związani z bydgoską sceną jazzową, której kreatywne centrum stanowi legendarny już klub Mózg, muzycy wydali swój duetowy album zatytułowany właśnie... *Therapy*.

Terapia zazwyczaj wiąże się z wyeliminowaniem źródła choroby, zakłócającej ów dobrostan. Jeśli zatem swoją najnowszą muzykę opatrzyli takim tytułem Gorzycki i Pater, to zapewne istnieć musi jakaś przypadłość, wobec której funkcję terapeutyczną pełni to nagranie. Ot zagadka, niczym tożsamość widniejącego na okładce płyty, elegancko przyodzianego jegomościa bez twarzy.

Kluczem do rozwiązania tej zagadki jest z pewnością nagrana na płycie, przez współtworzących formację A-Kinton perkusistę i gitarzystę, muzyka która została zarejestrowana podczas festiwalu *Drums Fuzje*. *Therapy* to jeden trzydziestokilkuminutowy utwór – zakotwiczony w trzech tematach -improwizacyjny strumień. Dwa z nich to bez wątpienia klasyka polskiego jazzu – „Guru” Andrzeja Przybielskiego (z którym jako lider formacji Sing Sing Penelope koncertował i nagrywał Gorzycki) oraz komeadowskie „Ballad for Bernt”. Pomiędzy nie, duet wplata melodię z ludowej piosenki „Czerwone jabłuszko”, która do świadomości wielu Polaków przeniknęła... dzięki reklamie pewnego oleju.

Najpiękniejsze na tej płycie nie są jednak sytuacje, w których rozpoznawalne melodie leniwie wypływają na powierzchnię owego strumienia, ale momenty, w jakich są one stopniowo zanurzane i rozmywane. To podczas ich trwania następuje niepowtarzalny, zaimprovizowany dialog, w którym gęsty perkusyjny rytm wybijany przez Gorzyckiego splata się ze zróżnicowanym frazowaniem Patera, gdzie odnaleźć można inspiracje twórczością Billa Frisella.

Terapią na co jest – zatem – ta rozpięta pomiędzy ludowymi i jazzowymi tematami duetowa interakcja? Na myślenie, że należy je traktować jak świętość i odgrywać w tej samej aranżacji po raz setny czy raczej na pogląd, że tworząc współczesny jazz trzeba się odciąć od muzycznego dorobku poprzedników? Pewnie po trosze na jedno i drugie. Posłuchajcie i oceńcie drodzy Czytelnicy sami. Nawet, jeśli nie uda Wam się – podobnie jak i mnie – uzyskać odpowiedzi na postawione w tym tekście pytanie, ta płyta będzie zapewne świetną terapią na bombardującą nas zewsząd muzyczną bylejakość.

Mateusz Magierowski

Organizatorzy



Dzielnica Mokotów

radioJazz.fm



Warszawskie
Towarzystwo Muzyczne

Jazzpress

**mokotów
jazzfest**

Włodzimierz Nahorny Trio

5 czerwca 2013

19:30, Pałac Szustra

Warszawa, ul. Morskie Oko 2

wstęp wolny

www.mokotow.org



Patroni medialni



Produkcja



RadioJAZZ.FM i JazzPRESS zapraszają na koncerty



W ramach cyklu Jazz nad Wisłą nad Bulwarach Wiślanych w Warszawie wystąpią: Contemporary Noise Septet (9), Aga Derlak Trio (16), Dabus (23), Pascal Schumacher Trio (Luksemburg, 30).



12 czerwca we wrocławskiej Hali Stulecia wystąpi Steve Vai & Evolution Tempo Orchestra. Steve Vai zagra swoje utwory zaaranżowane na orkiestrę symfoniczną. Szczegóły koncertu znajdziecie na stronie

www.miedzynarodowyfestiwalperkusyjniy.pl



12 czerwca w Synagodze pod Białym Bocianem we Wrocławiu wystąpi Tito Paris, który swoim koncertem odda hołd wielkiej Cesarii. Szczegóły na stronie www.ethnojazz.pl



17 czerwca w warszawskim klubie Pardon, To tu wystąpi formacja Soundcheck.



Od 21 do 23 czerwca we wrocławskim Centrum Kultury AGORA kolejna odsłona Art of Improvisation Creative Festival. W programie warsztaty, wystawy, projekcje filmów oraz koncerty takich artystów, jak: Postaremczak/Kugel/Tonkar/Cierliński, Saadet Türköz/

Giovanni Maier/Zlatko Kaučič I Agustí Fernández/Evan Parker. Wszystkie informacje znajdziecie na stronie www.ckagora.pl/ART_OF_IMPROVISATION_FESTIVAL_56_n49



23 czerwca w hali Orbita we Wrocławiu wystąpi królowa fado – Mariza. Koncert odbędzie się w przeddzień Dnia Św. Jana – Patrona Wrocławia i zakończy tegoroczny Wrocław Love Fest. Szczegóły na stronie www.ethnojazz.pl

30 czerwca rusza XVIII Letni Festiwal Jazzowy w Piwnicy pod Baranami w Krakowie. Wśród gwiazd tegorocznej edycji Branford Marsalis i Al Jarreau. Szczegóły na stronie www.cracjazz.com



Od 28 lipca do 4 sierpnia w Muzycznej Owczarni w Szczawnicy Jaworkach po raz pierwszy zostanie zorganizowany Jazz Camp Jaworki (Międzynarodowe Warsztaty Jazzowe). Zajęcia poprowadzą: Stephen Riley (USA) –

saksofon, Robert Majewski – klasa instrumentów dętych, Piotr Wyleżół – fortepian, Adam Kowalewski – kontrabas i gitara basowa i Krzysztof Dziedzic – perkusja. Więcej informacji na stronie www.muzycznaowczarnia.pl/jazz.htm



Od 2 do 10 sierpnia w ruinach Teatru Victoria w Gliwicach odbędzie się 9. edycja festiwalu Jazz w Ruinach. W programie koncerty: High Definition, Dominik Bukowski Group, Silbermann New Sextet, Freeway Quintet, Ida Zalewska i Gen-

eration Next. W ramach Dnia Niemieckiego wystąpią: formacja Mo`Blow oraz duet Matthias Schriefel i Tamara Lukasheva. Ponadto warsztaty muzyczne, które w klasie saksofonu poprowadzi Jarosław Bothur, zaś w klasie fortepianu Michał Wierba. I wreszcie wystawa grafiki i plakatu we współpracy z Instytutem Sztuki UŚ w Cieszynie.



radioJazz.fm

fot. Krzysztof Wierzbowski



W czerwcu w klubach

W krakowskiej Alchemii wystąpią: Volume – Trzaska / Friis / Jorgensen (2), Poleshift Project (12), Quadro Susanna & Angela Gaber Trio (13), Bester Quartet (16).

W warszawskiej Eufemii w ramach imprez pod szyldem Impro Miting odbędą się następujące koncerty: duetu Mieczysław Litwiński i Piotr Dąbrowski (6), Alexander Markvart (11), duetu Marek Pospieszalski – Tomasz Sroczyński (24) oraz zespołów Radioda i Jedność (27).

W warszawskim Pardon, To tu: zaplanowano koncerty: Volume – M.Trzaska / P.E. Nielsen / P.O. Jorgensen (3), Miód – Joanna Duda / Marek Pospieszalski (4), Arsyzn / Olgierd Sokalski (10).

W dniach od 13 do 16 czerwca trio MaBaSo, któremu lideruje wibrafonista Bernard Maseli, a tworzą basista Maciej Barański i perkusista Daniel „Dano” Soltis wybiera się w trzecią trasę, która będzie połączona z nagraniem płyty live. Nagranie ma nastąpić na pierwszym koncercie w katowickim klubie Kakofonia. Poza tym trio zagra jeszcze w Legnicy, Wadowicach i Krasnymstawie.

25 czerwca w krakowskiej hali O cynowni ArcelorMittal Poland zostanie zainaugurowana tegoroczna edycja festiwalu Sacrum Profanum. Na koncercie zapowiadającym wrześniową część główną wystąpi brytyjski zespół Portishead. Natomiast pomiędzy 14 a 22 września w różnych miejscach Krakowa będzie można usłyszeć m.in. Braina Eno z programem *Music for Airports*, (16 września), *Field Recordings Bang on a Can All-Stars* z Laurie Anderson (17 września) i *Polish Icons 2. Lutosławski* (22 września). Szczegółowe informacje o festiwalu można znaleźć na stronie www.sacrumprofanum.com/pl

30 czerwca w Krakowie rozpocznie się XVIII Letni Festiwal Jazzowy w Piwnicy pod Baranami. Gwiazdami tegorocznej edycji będą: saksofonista Branford Marsalis (wystąpi 16 lipca w Kinie Kijów.Centrum), perkusista Billy Cobham (zagra 20 lipca na Małym Rynku) i wokalista Al Jarreau (wystąpi 28 lipca na finał Festiwalu w Operze Krakowskiej). Więcej informacji znajdziecie na stronie www.cracjazz.com

W dniach od 5 do 7 lipca w Czchowie odbędzie się XIV Baszta Jazz Festival. W programie m.in. koncerty Warsaw Dixielanders, Leliwa Jazz Band, Old Timers czy Jazz Band Ball Orchestra. Szczegóły na stronie www.jazz.czchow.pl

Od 12 do 14 lipca w Gdyni odbędzie się dziewiąta edycja Ladies Jazz Festival. W programie koncerty m.in.: Dionne Warwick, Stacey Kent, Akiko. Szczegóły na www.ladiesjazz.pl

Od 23 do 25 sierpnia w gdańskim Teatrze Leśnym odbędzie się kolejna odsłona Gdańskich Nocy Jazsowych. Wystąpią m.in.: AMC Trio (Słowacja) feat. Maciej Sikała, Damiecka & Licak Quartet (Polska/Dania), Gwiazda: Full Drive III feat: Michael Patches Stewart (Polska/USA),

Andrzej Józefów Trio, Piotr Schmidt Electric Group, Orange Trane czy Laboratorium.

Na tegorocznym Festiwalu Drumfest, który odbędzie się na przełomie września i maja od Opola po Kraków wystąpią m.in.: Neal Morse Band, Jungle Funk, The Carl Palmer Legacy, Mallostrings, Cindy Blackman Santana, Havana Dreams, Jose Toress, Gavin Harrison & 05Ric, Trio Projekt – Vibes Beyond i Mark Wood.

Medeski Martin & Wood jest pierwszą oficjalną gwiazdą, która wystąpi na 9 edycji MÓZG FESTIVAL, który odbędzie się w Bydgoszczy w listopadzie tego roku!

Program tegorocznej edycji festiwalu Jazztopad zapowiada się niezwykle atrakcyjnie. Festiwal rozpocznie 14 listopada „najbardziej niesamowity kwartet współczesnego jazzu pod kierunkiem charyzmatycznego lidera, Wayne’a Sortera”, obok którego wystąpią Danilo Perez, John Patitucci i Brian Blade. Natomiast festiwal zakończy 24 listopada występ Charlesa Lloyd’a – „saksofonisty, który odkrył Keitha Jarretta i stał się jednym z ojców chrzestnych jazzrockowej rewolucji.” Zespół Charlesa Lloyd’a zaprezentuje program, na który złożą się kompozycje napisane specjalnie na zamówienie festiwalu Jazztopad.

(rs)

Bieżące informacje o koncertach znajdziecie w naszym serwisie na www.jazzpress.pl



Nasi zagranicą

23 maja 2013 w Hamburgu odbyła się gala wręczenia nagród ECHO Jazz 2013, w trakcie której skrzypek Adam Bałdach odebrał statuetkę w kategorii Zagraniczny instrumentalista roku. Bałdach stał się pierwszym polskim muzykiem uhonorowanym tą statuetką. W trakcie gali Adam wraz z innymi Artystami (Michaeliem Schiefelem, Sebastianem Gramssem, Lutzem Häfnerem, Bastianem Jüttem oraz Hansem Lüdemannem) wystąpili w projekcie ECHO Jazz-Allstars, wykonując utwór „Blaue Augen”. Statuetka ECHO Jazz 2013 to najważniejsza nagroda przyznawana Artystom z całego świata w niemieckim przemyśle muzycznym! Wśród innych laureatów nagrody ECHO Jazz 2013 znaleźli się m.in.: Michael Wollny, Vijay Iyer, Brad Mehldau Trio czy Kenny Garrett. Zdjęcie Markus Nass/BVMI

11 czerwca Artur Dutkiewicz wystąpi z solowym programem *Mazurki* na Intercultural Arts Dialogue Days w Istambule.

15 i 16 czerwca Adam Bałdach wystąpi w Wolfsburgu w Niemczech – pierwszego dnia jako członek Act Family Band w programie *Tribute to Esbjorn*, natomiast drugiego z towarzyszeniem Iiro Rantali, Larsa Danielssona i Martina Valihory, zaś sześć dni później w Lipsku z Iiro Rantala String Trio. Z tą samą formacją w okresie wakacyjnym wystąpi jeszcze na kilku koncertach w Finlandii: 27 czerwca na Kalotti Jazz w Tornio, 2 sierpnia na Crussel – week w Uusikaupunki, 4 sierpnia na Korsholma Music Festival w Vaasa, a 10 sierpnia na Kalkkijazz w Sipoo. Natomiast z formacją Bałdach/Rantala/Ilg/Lund European Friends dwukrotnie – 12 i 13 lipca – wystąpi w Montmartre Jazz Mouse w Kopenhadze.

28 czerwca Grzegorz Karnas wystąpi na Lamatin Jazz Festival w Szombathely na Węgrzech.

30 czerwca formacja Atom String Quartet wystąpi na festiwalu Jazzbaltica z towarzyszeniem tria Sendecki-Fresu-Haffner.

Na początku lipca trio RGG wystąpi na Jarasum Jazz Festival w Korei Południowej.

4 lipca trębacz Maciej Fortuna weźmie udział w koncercie zatytułowanym „L’Isola delle Storie, Koncert dla Europy”, inaugurującym Festiwal Literacki na Sardynii. Festiwal w Gavoi w ciągu 10 lat stał się jednym z najważniejszych wydarzeń kulturalno-literackich we Włoszech. Do projektu zaproszonych zostało 6 muzyków: Christopher Dell – wi-brafon, koordynacja zespołu (Niemcy), Wolfgang Reisinger – perkusja (Austria), Nicolas Simion – klarnet (Rumunia), Maciej Fortuna – trąbka (Polska) oraz Gavino Murgia – saksofon i Lelio Giannetto – kontrabas (Włochy).

W połowie lipca Paweł Kaczmarczyk Audiofeeling Band wystąpi na 17. edycji festiwalu Gärana Jazz Festival. W programie znajdziemy m.in. takich wykonawców, jak Bill Frisell, Charles Lloyd, Arild Andersen Trio, John Surman czy Miles Smiles.

W lipcu Maciej Obara ze swoim międzynarodowym kwartetem pogra za granicą. Rozpocznie koncertem w Monachium (12), potem w Wiedniu (13), a na koniec wystąpi na Molde Jazz Festival w Norwegii. Natomiast we wrześniu zaprezentuje się słuchaczom Tokyo Jazz Festival.

27 lipca Adam Wendt Power Set wystąpi na Berlin Jazz Festival.

Formacja Dagadana wystąpi w sierpniu w Wielkiej Brytanii. Jak dotąd zaplanowano dwa występy: w Nottingham na Festiwalu Riverside oraz w Sheffield w klubie Greystones.

(rs)



II Międzynarodowe Integracje Jazzowe – Big Band Workshop Krzeszowice 2013

W dniach 10-18 maja 2013 roku w krzeszowickiej Państwowej Szkole Muzycznej, odbyły się warsztaty jazzowe pod nazwą II Międzynarodowe Integracje Jazzowe – Big Band Workshop Krzeszowice 2013. Nad całością tego, jak się okazało, dużego przedsięwzięcia czuwali dyrektor artystyczny Jerzy Suruło oraz koordynator projektu Magdalena Suruło. Impreza odbyła się dzięki wsparciu takich firm, jak Meinl, Antigua i Yago Music Poland. Organizatorami warsztatów byli: Stowarzyszenie Muzyczne Śląski Jazz Club z siedzibą w Gliwicach oraz PSM w Krzeszowicach. Zanim przejdziemy do meritum, czyli koncertu finałowego wieńczącego długie przygotowania, pochyłmy się nad samymi zajęciami warsztatowymi, których funkcja edukacyjna najbardziej przyświecała ekipie organizatorów.

Zajęcia grupowe dotyczące pracy z instrumentem, zagadnień ogólnomuzycznych jak i typowo jazzowych odbywały się w sekcjach, które były prowadzone przez:

Michała Wierbę – klasa fortepianu,
Jerzego Małka – klasa trąbki,
Kajetana Drozda – klasa gitary,
Adama Wendta – klasa saksofonu,
Franka Parkera – klasa perkusji.

Nad pracą i funkcjonowaniem całego Big Bandu, utworzonego specjalnie z myślą o warsztatach i rozwoju młodych muzyków, czuwał bandleader – Jerzy Suruło.

W trakcie trwania zajęć istniała też możliwość przetestowania instrumentów firmy Antigua, która na tę okoliczność zorganizowała wystawę. Podczas koncertu finałowego można było też wylosować atrakcyjne nagrody, w tym saksofon altowy, ufundowany przez producenta.

Uczestnikami warsztatów byli zarówno zawodowi muzycy, studenci akademii muzycznych, uczniowie szkół muzycznych (z Poznania, Gliwic, Zabrze, Nysy, Krakowa i okolic) jak i zainteresowani, zaczynający dopiero swą przygodę z graniem. Wykładowcy stanęli przed nie lada wyzwaniem – bardzo zróżnicowanym poziomem wiedzy i umiejętności – lecz można śmiało powiedzieć, że poradzili sobie znakomicie, zaszczepiając jazzowego bakcyła szczególnie w młodych adeptach sztuki. Zajęcia Adama Wendta zostały obleżone przez najmłodszych uczniów z przeróżnymi instrumentami. Przez nieśmiałość, nasze smyki nie miały nawet pojęcia, że już za kilkanaście minut wspólnie wykonają SWINGUJĄCY numer „When The Saints Go Marchin’ In”, któremu przewodził szalejący w improwizacji Wendt. Można? :)

Przejdźmy jednak do koncertu wieńczącego warsztaty. Wspomniany już wcześniej zespół, który na potrzeby szkolenia przyjął nazwę Big Swingin’ Band, zaprezentował się w pełnej okazałości tuż przed godziną 18, kiedy to licznie zgromadzoną publiczność powitał przedstawiciel zarządu Śląskiego Jazz Clubu.



Pierwsze dwa utwory były tak naprawdę tylko preludium do prawdziwego grania. Po ich wykonaniu nastąpiła mała zmiana w składzie, z dumnie krocącym na czele Adamem Wandtem, dzierżącym swój instrument i gotowym do bravurowego wykonania Naimy Johna Coltrane'a na big band i saksofon tenorowy solo.

Kolejną gwiazdą, która błyszczała na bigbandowym firmamencie był Amerykanin Frank Parker – bębniarz Michała Urbaniaka – skrzypka, który wyróżnił jego zdolności pedagogiczne krótką wzmianką w swojej autobiografii *Ja Urbanator, czyli awantury muzyka jazzowego*. Ze strony wykonawczej widzowie, a także muzycy mieli okazję podziwiać Franka podczas koncertu. Wręcz kaskaderskie solo podgrzało publikę do czerwoności, a sam drummer dał z siebie wszystko, o czym świadczyły długie i gromkie brawa.

Podsumowując, warsztaty okazały się sporym sukcesem. Dało się to odczuć poprzez owacje rozentuzjasmowanej publiki (na stojąco) oraz obecność władz samorządowych związanych z kulturą. Mam nadzieję, że podawanie i promowanie muzyki jazzowej właśnie w taki sposób, będzie coraz popularniejsze i łatwo dostępne, bo zainteresowanie publiczności jak i uczestników warsztatów nie pozostawia wątpliwości – młodzi chcą zdobywać wiedzę od doświadczonych muzyków i poszerzać swoje umiejętności, także w zakresie improwizacji czy synkopowanej afroamerykańskiej muzyki – jazzu.

Krzysztof Matejski

Jazzowe święto na festiwalu JazzArt

Od ubiegłego roku przełom kwietnia i maja w Katowicach rozbrzmiewa jazzem. Kulminacja odbywającego się w tym czasie Festiwalu JazzArt przypada na 30 kwietnia, czyli ogłoszony właśnie przed rokiem przez UNESCO z inicjatywy Herbiego Hancocka, Międzynarodowy Dzień Jazzu.

Tegoroczne jazzowe święto na JazzArcie wypełniły cztery koncerty w czterech różnych salach. Świętowanie rozpoczął występ projektu francuskiego perkusisty Manu Katche, którego na scenie kinoteatru Rialto wspierali: włoski trębacz Luca Aquino, norweski saksofonista Tore Brunborg oraz organista i pianista Jim Watson – dwójkę z nich można usłyszeć na wydanej w ubiegłym roku przez ECM płycie zatytułowanej Manu Katche. Program zatytułowany Manu Katche 2013 wyraźnie skrojony jest pod perkusistę, który nie tylko obijał zestaw perkusyjny, ale czasem zasiadał także za organami. Swoje pięć minut mieli także obaj dęciacy.

Drugą odsłonę święta stanowił koncert formacji Sons of Kermet dowodzonej przez – znanego między innymi z audycji BBC – brytyjskiego saksofonistę i klawecistę Shabakę Hutchinsa, którego wspierali tubista Dren Marshall oraz dwaj perkusiści: Tom Skinner i Seb Rochford. Jazz Club Hipnoza wypełniła muzyka pustyni, oddająca głębie pustynnego życia – porykiwania dzikiego zwierza i odgłosy wędrującej karawany beduinów. Ze sceny płynęły niekończące się sekwencje dźwięków, potwierdzające trafność obserwacji Kisiela, że jazzowa „improwizacja

może trwać w nieskończoność”. Ucho słuchacza szczególnie cieszyły dialogi klawetu i tuby.

Trzecia odsłona, czyli występ Jakuba Kościuszko w klubie Katofonia, miała planowo rozpocząć się pół godziny po rozpoczęciu koncertu Sons of Kermet, tym samym niemożliwym było stawienie się na nim, tym bardziej, że na finał zaplanowano koncert formacji Marek Kądziera Das Quartet, która z jakiegoś powodu na ten jeden gig zamieniła się w Quintet feat Tomasz Dąbrowski. Obok grającego na gitarze lidera i wspomnianego już trębacza Dąbrowskiego, na scenie klubu Rajzefiber wystąpili uznani muzycy: klawecista Rudi Mahall, kontrabasista Frans Petter Eldh i perkusista Kasper Tom Christensen. Kwintet zaserwował godzinną dawkę akustycznego jazzu, utrzymaną w konwencji „wakacji od bebopu”. Od początku napadł na słuchaczy i przykuł ich do zajmowanych siedzeń. Grali żwawo, w ciągu godziny zagrali tyle dźwięków, że z powodzeniem można by nimi obsłużyć przynajmniej jeszcze jeden taki set. Tak na scenie, jak i na widowni panowała świetna zabawa, a pomiędzy tymi dwoma stronami tego samego widowiska dobra komunikacja. Przejawem tego było „wymuszenie” przez widownię zagrania na finał, odrzuconej wcześniej przez zespół, „rzewnej” kompozycji zatytułowanej „Wiewiórka”. Jak po koncercie przyznał na Facebooku lider, to był „One of the best concerts I ever played.”

Trzeba przyznać, że było to godne zwieńczenie jazzowego święta w ramach festiwalu JazzArt.

(rs)



To jest muzyka!

Sing Sing Penelope na ostatnim, przed wakacyjną przerwą, koncercie w ramach Czwartku jazzowego z Gwiazdą, co prawda nie rozwalil gliwickiego Jazz Clubu, choć w pewnym momencie było blisko, ale zaserwował słuchaczom dawkę kapitalnej muzyki i energii.

W maju i czerwcu wybrzmiewają ostatnie rozdziały z pierwszej książki, jaką jest wydana w ubiegłym roku płyta *This is music vol.1*. Koncerty przynoszą mieszankę nieuczesanego fusion z pogmatwanymi zabawami barwą i dźwiękiem. Zespół jest w wyśmienitej formie, co po koncercie z błyskiem w oku przyznał Rafał Gorzycki, który przez dwie godziny podstępnie wciągał słuchaczy w swoje muzyczne gry. Czemu słuchacze – niestety w nie nadzwyczajnej liczbie – poddawali się z przyjemnością.

Gry, wyznaczone transowym rytmem sekcji, na czele z – będącym klasą samą w sobie – perkusistą, któremu nie ustępowali pola basista Patryk Wacławek i klawiszowiec Daniel Mackiewicz, dopełniane interwencjami dęciaków: Wojtka Jachny na trąbce i Tomka Głazika na saksofonie. Septet zagrał w Gliwicach w kwintecie, bez saksofonisty Aleksandra Kamińskiego.

W czerwcu – jak zapowiadają – zagrają ostatnie koncerty z tym programem. Kto zatem może niech koniecznie się wybierze, bo naprawdę warto. Tak jak warto czekać na kolejne tomy tej niezwykle interesującej książki, bo *This is music vol. 1* na żywo brzmi fantastycznie!

(rs)



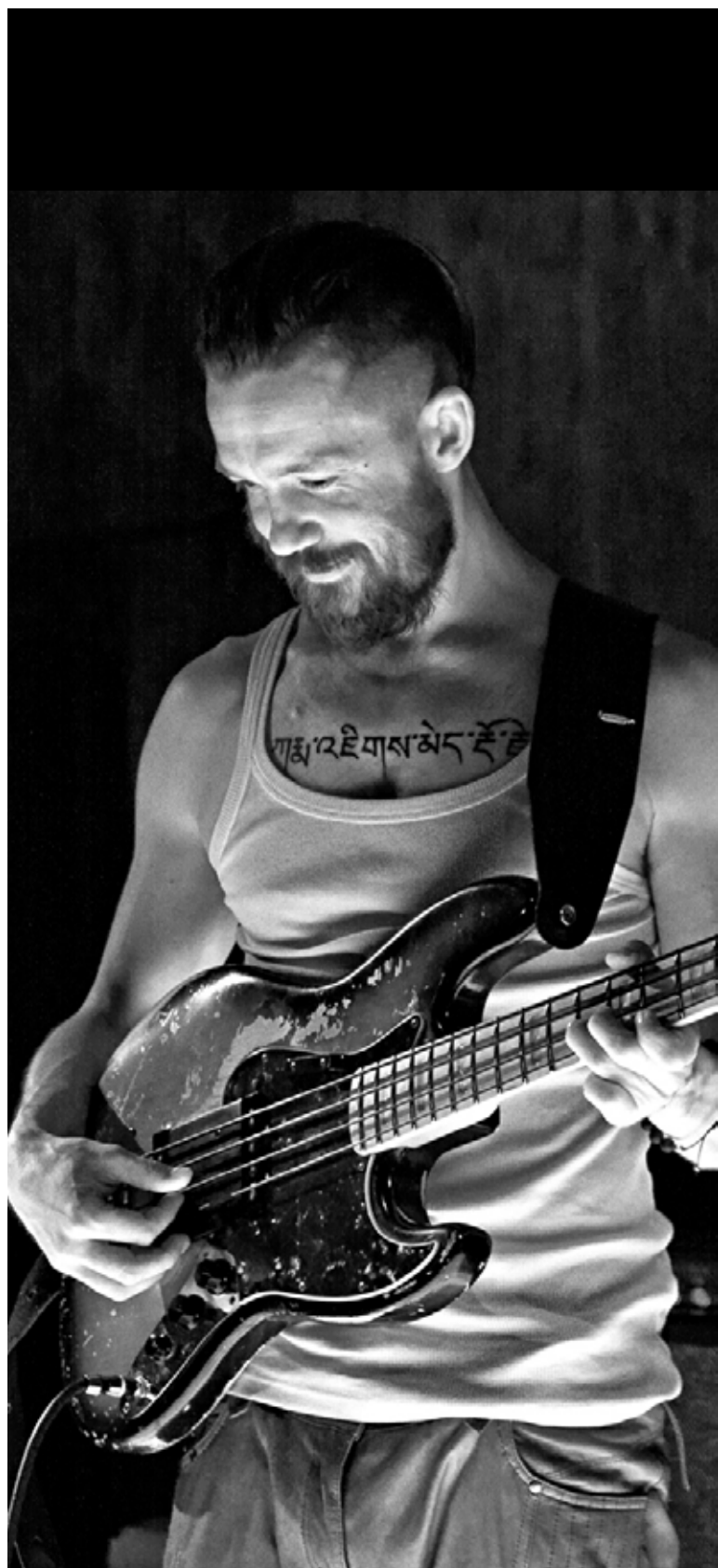


fot. Marcin Wilkowski

Łowca androidów na Dolnym Śląsku

W maju odbyła się trasa koncertowa zespołu Pink Freud zatytułowana Blade Runner Tour 2013. Na liście miast znalazł się Wrocław, w którym zespół zagrał 8 maja. Po liczbie osób, które po brzegi wypełniły klub Puzzle, widać było wyraźnie, że formuła proponowana przez band ma wielu fanów, nie tylko wśród miłośników jazzu. Niebagatelną rolę odgrywa tu swoboda, z jaką charyzmatyczny lider zespołu – Wojtek Mazolewski wraz z Adamem Baronem, Tomaszem Dudą i Rafałem Klimczukiem – prezentują swoją muzykę oraz entuzjizm, którym potrafią dzielić się z widownią. Obok utworów z ostatnich płyt: *Horse and Power* i *Monster of Jazz*, kwartet zaprezentował muzykę skomponowaną do audiobooka *Blade Runner* Philipa K. Dicka. Nie zabrakło bisów i wrocławskiej publiczności aż trzykrotnie udało się nakłonić Pink Freud do powrotu na scenę.

Marcin Wilkowski



fot. Marcin Wilkowski



Maciej Obara



Beata Przybytek

XIX Międzynarodowy Festiwal Starzy i Młodzi, czyli Jazz w Krakowie

Wiosenne jazzowe święto w Krakowie w tym roku zdecydowanie zdominowali „młodzi”. Zachwyciły zwłaszcza koncerty międzynarodowego kwartetu Macieja Obary, Imaginary Quartet Adama Bałdycha oraz Gregory’ego Portera.

Festiwal rozpoczął akcent freejazzowy w postaci występu norweskiej formacji Pocket Corner.

Skandynawowie odegrali wiodącą rolę również podczas drugiego, jednego z najlepszych – moim zdaniem – festiwalowych koncertów, jaki dał w Centrum Manggha Maciej Obara i jego międzynarodowy kwartet. Nowe kompozycje utalentowanego saksofonisty przeplatały się w pełnej intensywnej dynamiki zespołowej interakcji, z tematami zaczerpniętymi z twórczo-



Leszek Możdżer



Lars Danielsson

fot. Jacek Gancarczyk

ści Krzysztofa Komedy, której młody jazzman poświęcił swoją najnowszą płytę, takimi jak „Cages” czy słynna „Kattorna”. Wybornie zaprezentowała się polska część zespołu Obary, który pełne elegancji, wirtuozerskie pasaże Dominika Wani wieńczył potoczystymi, naznaczonymi charakterystycznym dlań soundem i altowymi frazami. Katalizatorem improwizacyjnego pędu

była jednak norweska sekcja rytmiczna, w której skład weszli: kontrabasista Ole Morten Vågan i perkusista Gard Nilssen. Norwegowie imponowali tak instrumentalnym kunsztem, jak i niesamowitą „energetycznością”. Jakie to szczęście, że koncert został nagrany i jeszcze w tym roku najprawdopodobniej ukaże się na płycie nakładem oficyny ForTune Records...





tet zaprezentował pełne muzycznej świeżości i otwartości na niekoniecznie jazzowe inspiracje (funkująca „Kukułeczka kuka po staroangielsku”!) i aranżacje wybranych przez Mencla wierszy m.in. Norwida, Tetmajera czy Emily Dickinson. Lidera warto pochwalić nie tylko za intrygujące adaptacje, ale i porywające fenderowe partie solowe.

Zanim zabłysnęli kolejni „młodzi”, po drodze był jeszcze nieprzekonujący mnie koncert krakowskiej formacji Funk de Nite oraz zwieńczony występami Beaty Przybytek, a także duetu Leszek Możdżer/Lars Danielsson Międzynarodowy Dzień Jazzu. Szczególną popularnością cieszył się wśród krakowskich słuchaczy koncert dwóch ACT-owskich frontmanów, którzy zaprezentowali m.in. repertuar z płyt *Pasodoble* i *The Time*.

Majowa część festiwalu rozpoczęła się koncertem formacji El Greco – nowego projektu krakowskiego pianisty Joachima Mencla, który do współpracy zaprosił Jorgosa Skoliasa (śpiew), Harry’ego Tanscheka (perkusja), Andrzeja Świąsa (kontrabas, gitara basowa) oraz DJ’a Krime’a, czyli Wojciecha Długosza. Niecodzienny kwintet

Zwieńczeniem festiwalu były dwa świetne koncerty „młodych” – Adama Bałdycha i jego Imaginary Quartet oraz nowej gwiazdy męskiej wokalistyki jazzowej – Gregory’ego Portera. Bałdych zaimponował tak improwizacyjną werwą, której w utworze „Village Undergroud” nie wytrzymało nagłośnienie, jak i subtelnym liryzmem, którego dowód dał w zagranej na bis solowej wersji lennonowskiego „Imagine”. Prócz kompozycji z ostatniej płyty utalentowanego skrzypka, wybrzmiał również nowy, poświęcony pamięci Esbjorna Svenssona utwór „Letter to Esbjorn”, w którym folkowy temat splatał się z liryczną narracją pianisty Pawła Tomaszewskiego.

Finałowy koncert Gregory’ego Portera dowiódł, że bezsprzecznie należy mu się już, nie tylko miano wschodzącej gwiazdy, ale stawiać go należy w jednym rzędzie z najlepszymi współczesnymi jazzowymi wokalistami. Dowody imponującej skali i unikalnej barwy swojego głosu dawał tak w utworach pełnych bluesowego drive’u („1960



What?” „Work Song”), jak i subtelnych balladach („Good Hands”). Bardzo dobre wrażenie pozostawili również członkowie jego bandu, na czele z groove’ową sekcją rytmiczną, tworzoną przez kontrabasistę Aarona Jamesa i perkusistę Emanuela Harolda. W Krakowie „młodzi” górá!

fot. Jacek Gancarczyk

Mateusz Magierowski





fot. Julian Olearczyk

Tomasz Stańko New York Quartet

Koncert w Synagodze pod Białym Bocianem

20 maja we wnętrzach Synagogi Pod Białym Bocianem wystąpił Tomasz Stańko z amerykańskimi muzykami. Koncert odbył się w ramach Ethno Jazz Festivalu i promował najnowszą płytę wybitnego trębacza pt. *Wisława*. Podwójny album wydany przez wytwórnię ECM inspirowany jest poezją Wisławy Szymborskiej i jej pamięci dedykowany. Świetny kwartet pod nazwą Tomasz Stańko New York Quartet stworzyli wraz z polskim trębaczem jazzowym – David Virelles (fortepian), Thomas Morgan (kontrabas) i Gerald Cleaver (perkusja).

niskich brzmień kontrabasów do dynamicznych, perkusyjnych szumiących werbli.

Synagoga dyszała od gorącej atmosfery koncertu. Publiczność w skupieniu chłonięła solowe dźwięki, aby wybuchnąć okrzykiem uznania po zachwycającej frazie muzycznej lub rytmicznej.

W ich improwizacjach szukałam autoironicznej frazy Wisławy Szymborskiej, znalazłam refleksyjną balladowość, melancholijne zadumanie, niepokojącą tajemniczość, rodzącą się i eksplodującą ekspresję. Tylko tyle i aż tyle.

Muzycy swobodnie przechodzili od łagodnych,

Dorota Olearczyk

Muzyka dla Jarka w Krakowie

Po tym jak wsparcie dla chorującego Jarka Śmietany okazali bluesmani (*Gramy bluesa dla Jarka Śmietany*) oraz środowisko krakowskich muzyków (*Koncert imieninowy dla Jarka Śmietany*), szczególne muzyczne wydarzenie miało miejsce 22 maja w Filharmonii Krakowskiej. Nigel Kennedy i Adam Czerwiński, nieodłączni wręcz muzyczni towarzysze wybitnego gitarzysty, zaprosili do wykonania kompozycji Śmietany całą plejadę jego współpracowników.

Pierwszą część koncertu rozpoczął akustyczny kwartet w składzie: Cezary Gadzina (saksofon altowy), Yaron Stavi (bas), Adam Czerwiński (perkusja) oraz Paweł Tomaszewski (fortepian). Muzycy wykonali dwie kompozycje Śmietany – „Mister Soul” oraz „My Love and Inspiration”, podczas których zaimponowali – zwłaszcza liryczny, ale jednocześnie niestroniący również od dynamicznego groove’u -Tomaszewski oraz rozpędzający grę zespołu intensywnym walkin-giem Stavi.

W kolejnych dwóch odsłonach, na scenie pojawiła się amerykańska wokalistka Karen Edwards, z którą Śmietana nagrał m.in. krążek *Everything Ice*, do której w standardzie „Body and Soul” dołączył Nigel Kennedy, subtelnymi frazami towarzysząc zdecydowanemu, bluesowemu głosowi Edwards i bopowemu brzmieniu trąbki Tomasza Nowaka. Jego rola zmieniła się, kiedy na scenę wszedł Billy Neal. Jego mroczny, waitsowski wręcz wokół wraz z rockowymi w swej intensywności partiami solowymi skrzypka, stworzyły niezapomniane wykonanie „House of the Rising Sun”.



Nigel Kennedy

fot. Marta Ignatowicz-Sołtys

Przewodnik koncertowy



Bill Neal

fot. Marta Ignatowicz-Sołtys



Adam Czerwiński

W drugiej części koncertu, pełnej – zmieniającej się jak w kalejdoskopie – dramaturgii, „Autumn Suite” Śmietany wykonały dwa kwintety. Pierwszy z nich – Kwintet Dęty Filharmoników Krakowskich, na czele z solistą Mariuszem Pędziałkiem – budował nastrój kompozycji i kreślił muzyczne przestrzenie, które wypełniali pełnymi rozmachem improwizacjami członkowie drugiego, jazzowego kwintetu – Kennedy, Stavi, Tomaszewski, Czerwiński oraz Nowak. Brakowało w tej pięknej muzyce tylko jednego – gitarowych riffów Jarka Śmietany. Obyśmy mieli okazję usłyszeć je – na żywo – jak najszybciej.

Mateusz Magierowski



Karen Edwards



Nigel Kennedy, Cezary Gdzina

fot. Marta Ignatowicz-Sołtys





Andrzej Sikorowski



Janusz Muniak

Koncert dla Jarka

W ramach koncertu imieninowego dla Jarka Śmietany, który odbył się 15 maja w Kinie Kijów. Centrum w Krakowie, wystąpiło ponad trzydziestu artystów – znajomych Jarka Śmietany oraz innych muzyków, z którymi współpracował. Byli wśród nich: Antoni Krupa, Sebastian Bernatowicz, Krzysztof Bodzoń, Jan Budziaszek, Bzyk i Guzik WU-HAE, Adam Czerwiński, Katarzyna Cygan, Antoni Dębski, Wojciech Groborz, Tomasz Grochot, Wojciech Karolak, Adam Kawończyk, Jacek Korohoda, Adam Kowalewski, Tomasz Kudyk, Bogusław Mietniowski, Grzegorz Motyka, Janusz Mu-

niak, Bill Neal, Tomasz Nowak, Marcin Ślusarczyk, Beata Rybotycka, Maciej Sikała, Andrzej Sikorowski, Sławomir Berny, Stefan Błaszczński, Skaldowie, Ryszard Styła, Hanna Banaszak, Paweł Tomaszewski, Zbigniew Wodecki, Jan Wojdak, Leszek Nowotarski, Piotr Wyleżół, Krzysztof „Puma” Piasecki, Mirosław Sitkowski, Jan Cichy i Tadeusz Leśniak. Antoni Krupa nie tylko wystąpił na scenie z nagraniem wspólnie z Jarkiem materiałem z ostatniej płyty, ale prowadził także cały koncert, zabawiając słuchaczy anegdotami z życia gitarzysty, wspólnymi wspomnieniami oraz przeprowadzonymi



Zbigniew Wodecki



Beata Rybotycka

fot. Marta Ignatowicz-Sołtys

przez szereg lat wywiadami. Również muzycy nie stronili od wyrażania osobistych treści pod adresem muzyka. Za wszelkie przejawy dobroci w stronę Jarka Śmietany podziękowała jego córka, Alicja Śmietana, przekazując wyrazy wdzięczności od taty, wzruszonego tak lojalną postawą przyjaciół muzyków. Podczas koncertu została wylicytowana grafika Julii Rumiańskiej z autografem Jarka Śmietany, a także Jolanta Tornado – jedna z pierwszych gitar artysty. Całość dochodów ze sprzedaży cegiełek wstępu została przeznaczona rodzinie Jarka Śmietany na leczenie i rehabilitację muzyka,

który nadal przebywa w szpitalu, po poważnej operacji usunięcia guza nowotworowego. Kolejny koncert, pod dyрекcją artystyczną Adama Czerwińskiego i Nigela Kennedy'ego odbędzie się już 22 maja w krakowskiej filharmonii.

tekst i zdjęcia Marta Ignatowicz-Sołtys





Maciej Sikala



Stefan Błaszczyński



Andrzej Zieliński



Jacek Zieliński

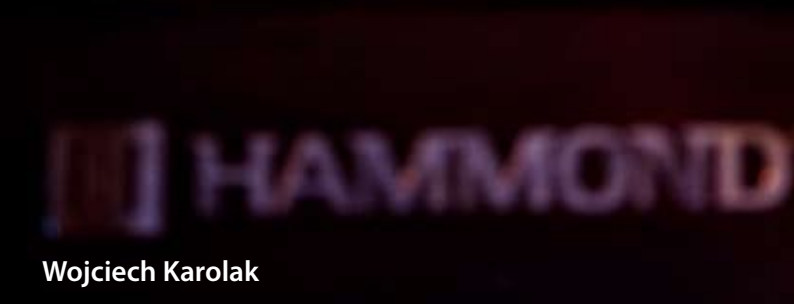
fot. Marta Ignatowicz-Sołtys



Wojciech Karolak



Hanna Banaszak



Antoni Krupa



Paweł Tomaszewski

fot. Marta Ignatowicz-Sołtys





Al di Meola w Krakowie

W połowie maja w Krakowie koncertował znakomity gitarzysta Al. Di Meola. Zapraszamy do obejrzenia fotorelacji z tego wydarzenia. Autorką zdjęć jest Marta Ignatowicz-Sołtys.

(red.)

Al Di Meola

fot. Marta Ignatowicz-Sołtys



Peter Kaszas, Kevin Seddiki, Al Di Meola, Fausto Beccalossi



Al Di Meola





fot. Bogdan Augustyniak

Należę do związku transportowców z własnym programem artystycznym

Rafał Garszczyński: Cieszę się, że możemy porozmawiać. Jak zwykle to bywa, z terminami nie było najłatwiej, ale się udało... JazzPRESS jest jedyny w swoim rodzaju. Nie mamy ograniczenia objętości, możemy więc rozmawiać o wszystkim i dowolnie długo. Cofnijmy się do prapoczątków.

Krzysztof Ścierański: Ja zacząłem na poważnie zajmować się muzyką gdzieś w okolicach roku 1976.

RG: Czasy dawnej świetności Jazz Jamboree, świątyni jazzu – nie tylko w Polsce – już nie wrócą.

KŚ: To były inne czasy. Możemy o tym porozmawiać.

RG: Jakoś tak niepostrzeżenie, bo drobnymi kroczkami jazz wyjechał z Warszawy. Dziś najważniejsze wydarzenia, ale też masa ciekawych grań klubowych jest poza Warszawą.

KŚ: Ciężko jest powiedzieć, gdzie dziś gra się jazz. Niewątpliwie wstydliwą sprawą dla decydentów z Ratusza jest fakt, że w Warszawie nie ma klubu jazzowego z prawdziwego zdarzenia. Był Tygmont, tam teraz na górze dziewczyny tańczą przy rurce. Tam nigdy nie udało się wygłuszyć sali na dole, gdyby zastosować profesjonalne, niepalne materiały, kosztowałoby majątek. Wszystko rozbija się o pieniądze.

RG: Stwierdzenie, że nie warto inwestować w kulturę brzmi niedorzecznie. Jednak w mniejszych miastach to się udaje. Dlaczego?

KŚ: W małych miejscowościach jest potrzeba bywania, kontaktu z żywą muzyką.

RG: Nie patrząc daleko od Warszawy, w Łomiankach można, to po Twojej stronie Warszawy. W Legionowie chyba nic nie ma, tam gdzie mieszkasz?

KŚ: Właśnie, że jest. Jest MOK, który działa i robi filię Jazz Jamboree. Jest też piękna nowa sala w Urzędzie Miasta, gdzie systematycznie coś się dzieje, raz na tydzień albo dwa. Przyjeżdżają zespoły rockowe i inne, grywa się jazz. W zeszłym roku grałem tam obok Ewy Bem, też w kilku innych składach. To sala widowiskowa Urzędu Miasta Legionowa. Legionowo to jest sypialnia Warszawy, ale lokalne władze mają spore ambicje i starają się zrobić wiele dobrego. Dzieje się dużo.

RG: W mniejszych miastach ludzie często nie wybierają konkretnego wykonawcy, ale chodzą na wszystko co jest w pobliżu, to z jednej strony zapełnia sale, a z drugiej poszerza ludziom horyzonty.

KŚ: Na pewno wiele w tym racji.

RG: Ile razy można słuchać na dużym festiwalu Bobby'ego McFerrina, Herbiego Hancocka, czy Marcusa Millera.

KŚ: Od wielu lat ambicją polskich organizatorów festiwali jazzowych jest robienie koncertów dla zagranicznych gwiazd. Zaproszenie wszystkich, którzy u nas jeszcze nie grali, wyścig – kto pierwszy kogoś ściągnie. Rodzaj gonitwy, chęć nadrobienia straconego czasu, w szczególności tych lat, kiedy byliśmy oddzieleni od reszty

świata. To nie jest samo w sobie złe, jednak zjada skąpe i tak budżety festiwalowe. W tym samym czasie polscy muzycy muszą albo gdzieś wyjechać, albo zmienić zawód, bo dla nich miejsca i pieniędzy już nie ma. Prosty przykład – Amerykanie grają u nas często za większe pieniądze niż u siebie, nie potrzebują wiz, mają łatwiej z podatkami. Z polskich muzyków tylko kilku rzeczywiście zaistniało na świecie.

RG: Można też łączyć granie jazzu z innymi muzycznymi zajęciami, aranżowaniem, pracą w studio przy zupełnie nie jazzowych projektach. Taka zresztą natura uniwersalnego sidemana.

KŚ: To oczywiście indywidualna decyzja każdego muzyka. Nie każdy jednak jest sidemanem. Muzycy dzielą się na kilka grup. Są sidemani – oni przeczytają i zagrają każde nuty. Są też kompozytorzy, to ludzie, którzy przynoszą do studia gotowe do nagrania kompozycje. Następna grupa, to aranżerzy. Oni układają niekoniecznie ciekawe i kompletne, dobrze napisane kompozycje w logiczną całość. Są też muzycy – artyści – chyba ja jestem najbliżej tej grupy. Ja słabo czytam nuty, jestem trochę sidemanem, jestem kompozytorem, trochę aranżerem, ale jestem przede wszystkim zwierzęciem trasowym. Należę do związku transportowców z własnym programem artystycznym. Wiadomo, jakie są w Polsce drogi, ile trzeba się namęczyć, żeby dojechać na koncerty.

RG: Robisz 50 tysięcy kilometrów rocznie?

KŚ: Więcej, bywało, że 70 tysięcy, 90 albo jeszcze więcej. Teraz jest inaczej, ciągle jeszcze

nie wiem, czy wrócę do starej rutyny. W zeszłym roku grałem z Jarkiem Śmietaną i Adamem Czerwińskim koncert gdzieś na północ od Bydgoszczy. Przyszło jakieś 600 osób. Płyty sprzedawały się świetnie. Zapotrzebowanie jest olbrzymie, szczególnie w mniejszych miastach. Byłem też ostatnio w Jaworkach w Muzycznej Owczarni, to jest jakieś 500 kilometrów w jedną stronę. Świetne i konsekwentnie rozwijane miejsce, do którego przychodzą ludzie, którzy chcą słuchać muzyki. Tak więc, jadę 500 kilometrów, z wielkim oddaniem i pasją gram, a potem zmęczony wracam 500 kilometrów. Mam dość daleko do pracy.

Wracając do różnicy pomiędzy dzisiejszą publicznością a tym, co było dawniej. Teraz ludzie chcą słyszeć muzykę na żywo. Cokolwiek, ale realne, rzeczywiste. Przypominam sobie końcówkę lat sześćdziesiątych, Kraków. W Rotundzie był DKF. Dla młodszych – to Dyskusyjny Klub Filmowy – miejsce, gdzie można było zobaczyć filmy, których nie było nigdzie indziej. To była taka baza do poznawania świata. Był tam Pan Stęborowski – dziwny gość z wąsami, który przywoził tam różne fantastyczne filmy – Felliniego, Bunuela – to były filmy, których w innych kinach nie było. W latach sześćdziesiątych na wiele z tych filmów mnie nie wpuszczali, byłem za młody, a to były filmy dla dorosłych. Ale już w latach siedemdziesiątych, jak ćwiczyłem z kolegami z Laboratorium pod schodami w Rotundzie, to wiele dobrych filmów widziałem. Te filmy były dla mnie szokujące. Na przykład *Korkociąg* Marka Piwowskiego. Można go pewnie znaleźć na YouTube, nie jest jednak zupełnie znany w Polsce, mimo że

według niektórych szacunków w Polsce mamy 6 milionów ludzi z chorobą alkoholową. Niedawno widziałem w telewizji *Bocaccio 70*. Trzy nowele. Gra tam Sophia Loren, dziewczynę pracującą na strzelnicy, sama jest główną nagrodą wieczoru. Tymi filmami byli zainteresowani ludzie z całej Polski. W mniejszych ośrodkach nie było DKF-ów. Ludzie potrafili wsiąść w pociąg i przejechać przez pół kraju, żeby zobaczyć film, bo byli ciekawi świata. Nie było innego źródła informacji. Na ulicach szarość, a w kinie kolorowy świat.

RG: Żyło się wolniej.

KŚ: Absolutnie. Nie było tylu telefonów w domach, nie wysyłało się SMS-ów.

RG: Znajomi przychodzili do siebie bez zapowiedzi, bo i często zapowiedzieć się nie było jak, bo nie było telefonów w domach. Przecież wieczorem ludzie byli w domach. Nikt nie pracował do nocy, nie musiał zostać dłużej.

KŚ: Dziś, żeby się z kimś umówić, dzwoniemy, wysyłamy SMS-y, maile, a później spotkanie odwołujemy, bo trzeba dłużej zostać w pracy albo stoimy w korku. Dawne czasy już nie wrócą.

RG: Sposób słuchania radia też się zmienia. Dziś praktycznie wszystkie stacje radiowe mają największą słuchalność w godzinach przedpołudniowych.

KŚ: Ludzie słuchają w pracy. Dawniej Kobra w czwartkowe wieczory wyludniała ulice. W radiu króluje bylejakość muzyczna. Zdegradowano muzykę do roli wypełniacza czasu.

RG: Dzisiaj wieczorem muzyka przegrywa z telewizją.

KŚ: A na żywo – na przykład w Warszawie, gdzie można posłuchać muzyki wieczorem?

RG: No właśnie. U nas koncert traktuje się jak wielkie wydarzenie. Musi być festiwal, bo nie ma nawyku wyjścia do małego klubu i posłuchania niekoniecznie muzyki najwyższych światowych lotów, ale na przyzwoitym poziomie. Na duże festiwale z kolei, przyjeżdżają co roku te same gwiazdy, to wielu nawet najwierniejszym fanom się już znudziło.

KŚ: To się szybko dewaluuje. Tak było swego czasu z Patem Methenym, który przyjeżdżał do Polski bardzo często. Grywałem z nim parę razy na jamach przy okazji jego wizyt.

RG: Lekki, festiwalowy jazz w rodzaju Pat Metheny Group, Marcusa Millera, Bobby'ego McFerrina i innych stałych gości letnich europejskich imprez jazzowych jest w założeniu muzyką dla każdego, ale spowodował, że wierni fani poczuli się nieco znudzeni, a szeroka publiczność ma za wiele różnych imprez do wyboru.

KŚ: Pat Metheny powiedział kiedyś w wywiadzie, że polska publiczność wychwytuje, jak mało która niuanse jego muzyki, czyli w największym skrócie, że zna się na rzeczy. Kiedyś jednak publiczność na jego koncertach była inna. Dziś na tych festiwalach trzeba bywać, niekoniecznie słuchać i rozumieć.

RG: Wielu artystów chwali polską publiczność jazzową.



fot. Bogdan Augustyniak

KŚ: Tak, choć nie jest tak wszędzie. Jest też inna polska tradycja – loża szyderców. Pamiętam dawno temu w Klubie Pod Jaszczurami była taka loża szyderców. Niszczyli wszystkich młodych. Wystarczyło się gdzieś pomylić. Mówili o tym potem długo, oczywiście wszyscy pijani nieco bardziej, niż średnia krajowa.

RG: No, ale Ty nie byłeś chyba zbyt długo przedmiotem ich drwin, jako młody początkujący muzyk. Dość szybko, grając z Laboratorium, stałeś się gwiazdą.

KŚ: Nie, to nie było tak. Laboratorium zaczynało grać w Zakładach Tytoniowych w Krakowie. Ja tylko wtedy słyszałem, że jest taki zespół. To było w moich czasach licealnych. Zespół szukał basisty. Marian Pawlik, u którego wziąłem jedyną w swoim życiu lekcję gry na gitarze basowej, zaproponował mnie i tak już jakoś zostało.

Marian opowiedział mi podczas tej lekcji bardzo ważne dla każdego muzyka rzeczy. To była fantastyczna lekcja. Do dziś, po ponad 30 latach przypominam sobie nieraz jego słowa i są dalej aktualne. Marian Pawlik – to dla młodszych – basista i kompozytor zespołu Dżamble. Dżamble to nie jest Kuba Badach – to znowu dla młodszych. Dżamble to był Andrzej Zaucha i Marian Pawlik. Z Andrzejem Zauchą grałem, świetnie śpiewał, mało kto dziś pamięta, że równie wyśmienicie grał na perkusji.

RG: To pewnie graliście jak wszyscy wtedy – trochę The Beatles, Rolling Stonesów?

KŚ: A właśnie, że nie – raczej Jimi Hendrixa,

Blind Faith, Cream.

RG: To ambitnie było?

KŚ: Z Andrzejem Zauchą grałem na jamach Pod Jaszczurami w Krakowie. W tamtych czasach był bardzo popularny zespół Old Metropolitan Band. Oni grali dixieland i mieli sporo pracy w Niemczech. Grali z Andrzejem Jakubcem, trębaczem, który trochę śpiewał. Grali dixieland i coś, co nazywam rosyjskim dixielandem – np. *Czarne Oczy* w aranżacji na dixielandowej. To zdecydowanie poszerzało im wybór miejsc, gdzie mogli zagrać. Oni grali z jakimś perkusistą, ale przez jakiś czas grał z nimi na bębnach Andrzej Zaucha. Ja nigdy za dixielandem nie przepadałem, to jest oczywiście jazz, ale nie ten, którego chciałbym słuchać i który chciałbym grać. Jak grał z nimi Andrzej Zaucha, to był jednak najpiękniejszy zespół. Gra perkusisty wszystko zmienia.

Pamiętam taką sytuację, kiedy ostatecznie zniechęciłem takie klimaty. Przyjechaliśmy na koncert pociągiem do Gliwic, mieliśmy jakieś 5 godzin do naszego grania, innego pociągu nie było. Była za to straszna pogoda. Bardzo zimno. To był koncert zespołu Laboratorium. Te 5 godzin przesiedzieliśmy w klubie Gwarek, gdzie grano dixieland, kilka zespołów, wszystkie grały podobne do siebie aranżacje. Wszystkie brzmiały tak samo. Było za głośno, zła akustyka, wszystkie zespoły grały smętnie „Beale Street Blues”. Jednak *Old Metropolitan Band* z Andrzejem Zauchą to było coś innego. To Andrzej swoją grą i śpiewem nadał zupełnie inną jakość zespołowi, który był szorstki i niepokładany.

RG: Big Bandem zawsze perkusista rządzi.

KŚ: Dokładnie. Andrzej Zaucha przeszedł do historii, jako fantastyczny śpiewak, muzyk. To był człowiek, któremu można byłoby powierzyć wiele różnych rzeczy. Na przykład Ministerstwo Kultury, Sztuki i Dziedzictwa Narodowego.

RG: Wracając do historii. Nie masz wrażenia, że muzyka w różny sposób się starzeje? Niektóre płyty nie wytrzymują próby czasu, inne nawet nabierają klasy. Laboratorium do dziś jest kultowym zespołem, w każdym nowym pokoleniu jest grupka fanów tego zespołu, co mnie zresztą nie dziwi. Ze String Connection już tak nie jest, choć w swoich czasach to był zespół wręcz kultowy. Pamiętam koncerty String Connection, widziałem ich wiele, to były niesamowite wydarzenia.

KŚ: Nie wiem, czemu tak jest, może dlatego, że muzyka *Laboratorium* jest nieco prostsza do rozwikłania, co nie znaczy oczywiście, że banalna; ale jednak posługuje się prostszymi środkami wyrazu.

RG: String Connection nie miało też szczęścia do nagrań. String Connection, które ja pamiętam, było o wiele lepsze na koncertach, na płytach nie udało się zapisać tej magii.

KŚ: Koncert zawsze jest przeżyciem niepowtarzalnym. Zresztą *String Connection*, co jakiś czas ma reaktywację. Graliśmy trzy spore trasy w oryginalnym składzie z Krzesimirem Dębskim, Januszem Olejniczakiem, Krzysztofem Przybyłowiczem, Januszem Skowronem. To były profesjonalnie przygotowane trasy – tu

wielkie brawa dla wyśmienitego Marcina Jacobsona. Graliśmy w wielu miejscach, nie udało się niestety zagrać w Krakowie... Nie było zainteresowania. *String Connection* to jest jednak dość droga impreza. Ja mógłbym grać codziennie, ale ja nie chcę grać za darmo. Coraz częściej ludzie chcą, żebyśmy grali za darmo, na prywatnych imprezach, w małych klubach. Może trzeba wyjechać do Norwegii, albo gdzieś. Grają wielkie gwiazdy – Tomasz Stańko, Leszek Możdżer, dla reszty pracy w zasadzie brak. Laboratorium też grywa czasami do dziś.

RG: Często zastanawiam się biorąc do ręki jakąś nowo wydaną płytę, czy ma szansę przeżyć kolejne 20 lat i czy wtedy też po nią chętnie sięgnę. Mam niestety wrażenie, że teraz takich płyt właściwie nie ma, a 20 albo 30 lat temu, kiedy wychodziłem z londyńskiego Virgin – którego też zresztą już nie ma – z nowym albumem Milesa Davisa, to wiedziałem, że to będzie klasyk na lata.

KŚ: Lata siedemdziesiąte i początek osiemdziesiątych, to był w zasadzie ostatni okres, kiedy muzycy decydowali o muzyce, a nie producenci i wydawcy. To był cudowny czas. Na szczęście mamy wiele pamiątek z tego okresu w postaci wybitnych nagrań.

RG: Jesteś, co prawda chyba nieco mimowolnie, ale autorem chyba największego bestsellera wszechczasów w polskiej muzyce jazzowej!

KŚ: Niemożliwe, nic o tym nie wiem.

RG: Mam na myśli album *Independent*, który rozszedł się w nakładzie ponad 140 tysięcy egzemplarzy.

KŚ: (śmiech...) Urbaniak jest lepszy w tej konkurencji, bo zagrał na saksofonie i to było wydane z *Gazetą Wyborczą*, to był dużo większy nakład. *Independent* długo leżała u Winicjusza Chrósta i czekała na swój moment. Mam dużo takich płyt w domu. Na przykład album z nieżyjącym już Jankiem Plutą. Jak piliśmy sobie u niego w domu whisky, to bardzo nam się ten album podobał. Może na trzeźwo już nie tak bardzo, ale jakby sprzedawać go z jakimś dobrym alkoholem, to poszłoby nieźle.

RG: To moja branża, więc sprawdziłem – sprzedawało się około 140 tysięcy egzemplarzy.

KŚ: Dotarłem dzięki temu do wielu osób, ale niekoniecznie zainteresowanych muzyką w ogóle. Oczywiście nie dorobiłem się na jej wydaniu jakiś wielkich pieniędzy.

RG: No tak, dziś to biały kruk, bo jak ktoś wtedy nie kupił pisma PC World (to był chyba rok 2004), to dziś płyty kupić się nie da...

KŚ: Tak, to prawda, nigdy nie wyszła – jako samodzielny produkt – choć pewnie gdyby wyszła, to jakieś dwa tysiące egzemplarzy by się rozeszło.

RG: To byłby bardzo dobry wynik, jak na wydawnictwo, które już jest na rynku w ilości 140 tysięcy sztuk.

KŚ: A ja myślę, że by się udało. Niekoniecznie w sklepach, ale ja na koncertach sporo płyt sprzedaję.

RG: No tak, koncerty są dobrym miejscem na sprzedaż płyt.

KŚ: Sprzedaż w sklepach zależy od reklamy, mało od jakości muzyki. Ja nigdy nie wydałem złotych na swój PR, mimo to wygrywałem ankiety Jazz Forum.

Powspominajmy trochę te wyjątkowe płyty z dawnych lat. Niektóre dziś zupełnie zapomniane. Pamiętam na przykład album Ralpha Townera „Solstice” z Janem Garbarkiem, Eberhardem Weberem i Jonem Christensenem. Samego Townera poznałem go dwa lata temu w Krakowie. Miał taką małą gitarę akustyczną, która wyglądała jak dawny produkt z NRD, ale genialnie stroiła. Gdybym ja miał taką gitarę 30 lat temu, dziś byłbym wyśmienitym gitarzystą. Jestem tego pewien. To niezwykle przejmujący album.

RG: Wiele płyt z lat siedemdziesiątych w takich akustycznych klimatach przeszło wtedy trochę bez echa, to przecież lata dominacji brzmień elektrycznych.

KŚ: To prawda, ale też budowy potęgi ECM i wielkich nagrań. Pamiętam też płytę Eberharda Webera, jedyną, która mi się podobała – *Yellow Fields*. Weber to przecież świetny basista, powinienem mieć wszystkie jego płyty, a mnie z jego solowych nagrań spodobała się właśnie ta.

RG: Nie znam tej płyty.

KŚ: To jest niesamowita płyta. Znam inne jego nagrania z tego okresu, wszystkim daleko do tego albumu. Musiał być jakiś szczególny mo-

ment. Jest też *My Song* Jana Garbarka z Keithem Jarrettem plus sekcja. Dziś nie ma takich płyt.

RG: Z nagrań basistów ostatnio urzekła mnie płyta Renauld Garcia-Fonsa – Solo: The Marcevol Concert. Śpiewa przy pomocy kontrabas.

KŚ: Ja znam go tylko z YouTube, wiem że będzie niedługo w Polsce. Gra solo? Są jakieś samplery?

RG: Solo, elektronika tylko w kilku utworach na płycie się pojawia, to zresztą nagranie koncertowe.

KŚ: Dla mnie on jest perfekcyjny technicznie, ale muzyka zimna, nieco bez wyrazu, przynajmniej te fragmenty, które znam; raczej skandynawska, mimo tego, że to jest przecież człowiek z południa Europy. Czegoś mi jednak w tym, co usłyszałem brakowało. Może bluesa?

RG: Będzie okazja sprawdzić na koncercie. On gra sporo rytmów południowych, afrykańskich.

KŚ: Z wirtuozerią to jest problem. Na gitarze basowej gra sporo ludzi niesłychanie szybko, ale nie ma w tym życia. Jest taki muzyk – Linley Marthe – jest niesamowity. Miałem ostatnio na Facebooku dyskusję z jednym z fanów, który stwierdził, że gwiazdą jest Avishai Cohen... Gdzie mu tam do takiego – choćby – Linleya Marthe...

RG: Będą jakieś nowe płyty w najbliższym czasie?

KŚ: W domu to ja mam dużo swoich nowych płyt... (śmiech...).

RG: A dla innych?

KŚ: Znowu można ponarzekać na rynek, system, działania wytwórni. Dajmy spokój. Kończę płytę dość nietypową – gram na niej głównie na gitarze. Płyta ukaże się pewnie jesienią. Zagram też trochę koncertów.

Czego ja nie lubię w dzisiejszych czasach? Tego, że każdy koncert, każde wydarzenie musi być w jakiś sposób specjalne. Projekt specjalny, wydarzenie. Dziś nie idzie się do sklepu, tylko do supermarketu. Nie ma już zwyczajnych koncertów, są tylko projekty specjalne. Garbarek na ludowo, jedyne w swoim rodzaju wydarzenie. A ja uwielbiam grać zwyczajne koncerty, bez jakiegokolwiek wielkiej reklamy. Tak sobie pogram i będzie fajnie. Ludzie przyjdą, będą zadowoleni, mam nadzieję.

RG: Są muzycy, którzy szukają pracy poza jazzem.

KŚ: No tak, to jest oczywiście kwestia decyzji zawodowej.

RG: Porozmawiajmy chwilę o Karo Glazer. Ta płyta budzi skrajnie różne opinie. U mnie zdecydowanie negatywne. Nawet zastanawiałem się, czy o ten album pytać, ale to przecież chronologicznie Twoje najnowsze nagranie.

KŚ: No tak, to jest bardzo przemyślany projekt muzyczny. Karo jest osobą bardzo pracowitą i konsekwentną w tym, co robi. W każdym aspekcie swojego działania. Poświęciła na ten projekt kilka lat. Pewnie to jej życiowe dokonanie, chyba że pójdzie dalej, ale tego jeszcze

nie wiadomo. Pomagałem jej w tym projekcie, sugerując muzyków, którzy powinni wziąć udział w nagraniu. Gra tam na fortepianie John Taylor, muzyk kiedyś z kręgu ECM, wspaniała osobowość, człowiek kreujący zupełnie inną rzeczywistość muzyczną w ogólnoeuropejskim chaosie.

Odbyła się pierwsza sesja do tej płyty. Brakowało jej jednak trochę muzyki. Dałem jej 3 moje utwory, z czego jeden był już znany, bo pojawił się już na moich dwóch płytach – „Księżyc, ty i ja”, gdzie u Karo gra na gitarze akustycznej, Mike Stern i John Taylor na fortepianie i jeszcze dwa utwory piosenkowe, do których Karo napisała słowa. No i tu nastąpiło zdziwienie – biorę Jazz Forum i czytam wywiad z Karo Glazer. Ona mówi w tym wywiadzie, że napisała 8 utworów na tej płycie. Cała płyta, to 9 kompozycji. „Księżyc, ty i ja” wiadomo, że jest mój. A pozostałych ona jest kompozytorem. Mam do niej żal. Mam spory udział w powstaniu tej płyty. Oczywiście moje utwory były przearanżowane, ale to są wciąż moje kompozycje. To nie jest tylko wypowiedź dla Jazz Forum, ona to powtórzyła kilka razy w wywiadach, między innymi dla Radia Lublin.

RG: Słyszałem już o kilku przypadkach, kiedy wokaliści próbowali sobie przypisać autorstwo piosenki, którą napisał zupełnie ktoś inny.

Zdarzają się takie rzeczy. Na przykład ktoś proponuje wznowienie płyty, gdzie mój utwór śpiewa wokalista X. Wydawca proponuje za wznowienie symboliczne wynagrodzenie. Pan X natychmiast wyciąga rękę po 50% honora-

rium. Nie zgadzam się z tym, bo moją piosenkę może też zaśpiewać Pan Y i to dalej będzie moja piosenka. W odwrotną stronę to nie działa.

RG: Wracając do Karo Glazer. Bardzo chce zostać celebrytką.

Ja lubiłem tą płytę, jak powstawała. Ale po tych wywiadach, straciłem do niej serce. Ja na tej płycie głównie pisałem maile, dzwoniłem, napisałem dwa utwory i dałem wcześniej napisaną kompozycję.

RG: Ja już miałem właściwie o Karo Glazer nie pisać, ale jak zobaczyłem 5 gwiazdek w Jazz Forum, to nie wytrzymałem i napisałem na swoim blogu. Generalnie nie piszę źle o muzyce, bo nie warto, ale te pięć gwiazdek mnie nieco zdenerwowało.

KŚ: Mój jedyny wywiad dla Jazz Forum miał miejsce jakieś 30 lat temu, ale wiem na pewno, że w rubryce Coda coś napiszą. W takich miejscach należałoby stworzyć dla recenzowanych płyt dwie kategorie – osobno dla nowości i zupełnie inną dla klasycznych płyt sprzed lat. Ich ocenianie w tej samej skali nie jest wykonalne.

RG: Być muzykiem to coś niezwykłego, nie da się schować za nikim, każdy inny artysta może swoich odbiorców nie oglądać, malarz, pisarz, poeta. Muzyk wychodzi na scenę, musi być prawdziwy i nie może mieć słabszego dnia.

KŚ: To prawda, to jest oczywiście z jednej strony przekleństwo, a z drugiej całe piękno takiego życia. Muzyk to nie jest zawód, choć każde inne słowo zabrzmi górnolotnie.

Grałem kiedyś koncerty w więzieniach. To były niezwykle przeżycia. Ciężkie więzienia. Lubliniec – grałem dla samych kobiet. Bałem się, ale wydaje mi się, że udało mi się dotrzeć do wnętrza tych słuchaczy. Starałem się otworzyć na muzykę i jakoś poszło. Moja muzyka w wersji solo opiera się na podświadomości. Często przychodzą do mnie po koncertach słuchacze i mówią, że gram muzykę, która wywołuje u nich jakieś obrazy, pobudza wyobraźnię. Jest w mojej muzyce element podświadomej tajemniczości, energii, choć muszę przyznać, że oczywiście nie jest tak każdego dnia.

Wracając jeszcze do tych koncertów w więzieniach – to jest najlepsza publiczność, bo z koncertu nikt nie wyszedł (...śmiech...).

RG: Wiesz, że w tym roku w Dolinie Charlotty zagra Carlos Santana...? W sumie fajnie i znam wielu, którzy na ten koncert czekają, ale jeśli gra tam, to znaczy, że nie ma lepszych ofert w większych miejscach, tak jak jeszcze parę lat temu.

KŚ: Nagrał słabą płytę – *Guitar*. Kiedyś był wielką gwiazdą. Grałem kilka razy w Opolu na festiwalu perkusyjnym z jego obecną żoną – Cindy Blackman. To jeszcze nic, grywałem też z Buddy Milesem.

RG: To przecież legenda... Genialna płyta Carlosa Santany i Buddy Milesa – Live! z 1972 bodajże roku.

KŚ: Tej chyba nie znam. Powiedziałem kiedyś Buddy Milesowi, że podoba mi się jak śpiewa „When I’m Looking In Your Eyes”, a on na to, że to obrzydliwa komercja.

Zresztą grałem z wieloma bardzo znanymi perkusistami i to były ciekawe doświadczenia, choć muszę przyznać, że nie zawsze pozytywne. Carl Palmer z zespołu Emerson, Lake And Palmer. Will Calhoun z Living Colour – on świetnie gra sambę, to mnie niesie. Grałem z Billem Brufordem, to uroczy człowiek, graliśmy z nim calypso, Jose Torres, Bernard Maseli, Bill Bruford i ja.

Często rozmawiałem z Joe Zawinulem. Uwielbiam go i dlatego nigdy nie odważyłem się poprosić go o wspólne granie. Opowiadał mi dużo o Weather Report. Między innymi historię nagrania *Mr. Gone* – płyty trudnej, bo nagrywanej po przebojowej *Heavy Weather*. Szukali nowego pomysłu na perkusję. Zaproposili Steve Gadda, który zresztą gra na części tej płyty. Wzięli też Petera Erskine’a, który gra na pozostałej części tego albumu. Zapytałem Joe Zawinula o basistów, zachował się bardzo politycznie. Powiedział, że najlepiej gra mu się z Victorem Baileyem, bo właśnie wtedy z nim grał. Moim zdaniem, po Jaco nie mógł być przecież nikt lepszy...

Wielu świetnych muzyków mogłoby nagrywać dobrą muzykę, ale wybiera gwiazdorstwo, chcą się na siłę odróżnić. Taki Etienne Mbatia, albo jeszcze lepszy przykład – bo to bardzo dobry muzyk – Richard Bona. Czasem sobie myślę, że pieniądze i muzyka dziś nie mogą iść w parze, bo prędzej, czy później przyjdzie producent i zacznie podpowiadać nie to, co wartościowe muzycznie ale to, co dobrze się sprzedaje.

RG: No tak – Richard Bona w pradawnych czasach, kiedy grał z McFerrinem, albo jak grał w zespole Pata Metheny’ego...

KŚ: Lubilem pierwsze płyty Richarda Bony. Puszczalem to młodzieży na warsztatach w Polsce, nie potrafili tego zrozumieć. Ja rozumiem część z tych afrykańskich figur rytmicznych. Mam wrażenie, że z pewnymi rzeczami trzeba się urodzić. Jestem daleki od stwierdzenia, że jestem jakoś bardziej utalentowany, jednak mam jedną zdolność – grając – potrafię jednocześnie być gdzieś z boku muzyki, słyszeć całość z innej perspektywy.

RG: Pociągnijmy wątek wirtuozerii, to nieuleczalna zdaje się choroba niektórych gitarzystów i gitarzystów basowych. Weźmy takiego Victora Wootena, jako dyżurny przykład. Na koncertach świetny show, płyty moim zdaniem słabiutkie, bez duszy.

KŚ: Victor Wooten to wybitny basista grający wspaniałą, nieosiągalną przez innych techniką. Muzyka, którą gra, nie porywa mnie. Są też inni, którzy robią rzeczy zadziwiające – na przykład Stanley Jordan – grający jednocześnie na fortepianie i gitarze. On ma chyba jakiś odmiennie zbudowany mózg, kompletnie oddzielne, niezależne półkule. Gdyby jednak zechciał pozbyć się tego charakterystycznego brzmienia gitarowego tappingu i zagrać coś na normalnej gitarze...

RG: Też widziałem ten koncert. Zgadzam się z Tobą. Gitarzysta powinien mieć unikalny sound, coś takiego, że już po kilku dźwiękach wiemy, kto gra – jak B.B. King, albo Jeff Beck – on jest chyba najlepszym z żyjących...

KŚ: No wiesz, zgadzam się, ale młodzi naciskają... Jest Derek Trucks i Greg Howe. To będą gwiazdy.

RG: A co sądzisz o dziewczynach grających na basie? Ile gwiazdorstwa jest w tym, że to dziewczyny, a ile muzyki? Tal Wilkenfeld? Esperanza Spalding?

KŚ: Grają i są wybierane do zespołów przez najlepszych. Tal Wilkenfeld przez Jeffa Becka i Herbie Hancocka, Esperanza świetnie śpiewa, byłem na jej koncercie w Berlinie. A Herbie Hancock, chyba jako jedyny, potrafi skleić w całość gwiazdorskie projekty. Taki „The Imagine Project” albo „I Just Called To Say I Love You” z albumu *Possibilities* – intro tak daleko różne od oryginału, ale przepiękne dzięki temu. To tak odległe muzycznie światy. Jazz i popowa piosenka.

RG: Dla Stevie Wondera to chyba kompozycja o specjalnym znaczeniu?

KŚ: No tak, pewnie, ale wiem, że on chciał coś takiego napisać. To jest w ogóle ciekawa historia. Opowiadał mi Bob Malach (on grał ze Stevie Wonderem przez ponad 10 lat), że był na próbie, kiedy pierwszy raz Stevie Wonder przyniósł „I Just Called To Say I Love You”, zagrał i pozostali muzycy zapytali go, czy naprawdę mają to grać. Wonder napisał to w słusznej sprawie dla Nelsona Mandeli. A muzyka popularna musi zawierać element kiczu, bo wtedy trafi do tych słyszących inaczej.

Pamiętam taką historię. Grałem trasę z Paulem Vertico w Polsce, Czechach, Słowacji i kończyliśmy w Niemczech. Z Niemiec miałem lecieć z gitarą i moją skrzynką z elektroniką do Kanady. Nie poleciałem, bo chcieli 1.700 dolarów za nadbagaż. Wtedy zrozumiałem, że to nie jest tak, że świat

należy do artystów i że chodzi raczej o pieniądze. Oczywiście dla największych gwiazd to nie ma znaczenia. Zawinul latał z tonami sprzętu. Tak samo Al DiMeola, Pat Metheny. Ale inni mają pod górkę. Mój sprzęt ważył o 4 kilogramy za dużo.

RG: Doskonale nam się rozmawia. Spróbujmy podsumować. Kiedy będzie Twoja gitarowa płyta?

KŚ: Wydam płytę jesienią. Lato nie jest dobrym czasem do wydawania płyty. Na trasę muszę znaleźć dwóch klawiszowców, jeden z nich musi grać partie basu albo techniczny będzie grał na basie, jak ja będę grał na gitarze. Jeden z numerów jest w stylu Gary Moore'a. Ta muzyka kojarzy mi się z moją młodością, z popową wersją Jimi Hendrixa, z zespołem Isley Brothers. Grałem zresztą z ich gitarzystą – Ricky Rose. Dla mnie muzyka jest wolnością. Dlatego nigdy nie będę grał rzeczy, które mi się nie podobają. To chyba dobre podsumowanie. Gdybym nie był wolnym człowiekiem i nie mógł grać tego, co lubię, bardzo szybko bym się zestarzał. W życiu trzeba mieć cel.

Granie na gitarze jest spełnieniem moich młodzińczych marzeń – z czasów – kiedy grałem na basie w zespole mojego brata – System. Tam miejsce gitarzysty było zajęte. Jednak w podświadomości zawsze wiedziałem, że sięgnę po gitarę.

RG: Rozmawiam z Tobą pierwszy raz, ale mam wrażenie, że wielu tematów jeszcze nie omówiliśmy. Umówmy się od razu na kolejną rozmowę o Twojej nowej płycie.

KŚ: Z wielką przyjemnością.



fot. Bogdan Augustyniak



fot. Piotr Gruchala

Dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć osób nie pomoże, ty jednak musisz szukać tej tysięcznej

Roch Siciński: Mamy dużo tematów do rozmowy... Jesteś kompozytorem, producentem muzycznym i filmowym oraz muzykiem. Masz 8/10 gwiazdek na portalu Filmweb, a dla całej twórczości 7/10; masa nagród, sporo filmów, płyt czy ogólnie rzecz biorąc produkcji. Ty jednak w jednym z wywiadów powiedziałeś, że wolisz być pozytywnym siódmoligowym trenerem piłki nożnej, niż niepozytywnym prezydentem. Mam więc do czynienia z pozytywnym człowiekiem?

Tomasz Gąssowski: Staram się jak mogę, żeby tak było. Staram się rzetelnie robić swoje i chyba póki co nigdzie nie dałem ciała, więc mam nadzieję, że jestem postacią pozytywną.

RS: Nie chcę na razie ruszać jazzu, zacznijmy od kom-

ponowania muzyki filmowej. Jak to jest? Jak powstaje muzyka do filmu, to znaczy – jak wygląda proces – czy najpierw poznajesz obraz, czy pierwszy dostajesz scenariusz, czy może jesteś na planie? Może banalne pytanie, ale długo mnie to intrygowało.

TG: Dla każdego kompozytora i dla każdego filmu wygląda to inaczej. Są filmy gdzie można pisać muzykę „z metra” – np. filmy z epoki. Można ją stworzyć wcześniej, podkładać później. W moim przypadku, do każdego filmu proces pisania przebiegał inaczej. Do pierwszego filmu Andrzeja Jakimowskiego („Zmruż oczy”) muzykę napisałem, kiedy materiał był już nakręcony. Kolejny obraz („Sztuczki”) – to była praca w czasie zdjęć – zjeżdżałem z planu i zainspirowany tym, co dzieje się między boha-

terami zaczynałem pracę, choćby tym co działo się między odtwórcą roli chłopca...

RS: ...świetna rola – tak na marginesie powiedz – to jest przecież naturszczyk prawda?

TG: Tak, oczywiście. Damian Ul dostał główną nagrodę za pierwszoplanową rolę męską na festiwalu w Tokio, już nie pamiętam z kim tam konkurował, ale pokonał jakiegoś topowego amerykańskiego gwiazdora – także pierwsza klasa...Wracając do tematu – przy ostatnim filmie „Imagine” muzykę zacząłem pisać przed zdjęciami. Ponieważ z Andrzejem Jakimowskim współpracuję bardzo blisko, to jestem jedną z pierwszych osób jakie czytają scenariusz.

RS: Pisałeś muzykę do wszystkich jego filmów prawda?

TG: Tak, byłem także współproducentem dwóch z nich. Po przeczytaniu scenariusza „Imagine” zabrałem się za pisanie muzyki, bo pomyślałem sobie, że skoro bohaterowie nie widzą, ja też nie muszę widzieć, a muszę czuć, muszę odbierać emocje i relacje. Obrazy nie są w tym wypadku tak ważne. (*„Imagine” opowiada historię osób niewidomych zamieszkałych w lisbońskim ośrodku dla niewidomych, gdzie główny bohater w niekonwencjonalny sposób stara się nauczyć swoich podopiecznych orientacji w przestrzeni za pomocą echolokacji – przyp. red.*).

RS: Przyznam szczerze, że jest to dla mnie mocno abstrakcyjne.

TG: Ale dla mnie też! (*śmiech...*)

RS: Trudne jest dla ciebie – jako kompozytora – oglądanie innych filmów? Nie masz zboczenia zawodowego na punkcie ścieżek dźwiękowych?

TG: Nie ma mowy! W kinie jestem jak dziecko, ciągle mnie to bawi, a morduję się tylko wtedy, kiedy oglądam film, nad którym pracowałem. To jest uczucie, że tak powiem... niekomfortowe. Mam tak, że bardzo długo komponuję muzykę, staram się do tego przyłożyć na tyle, na ile tylko mnie stać, a to jest męczące na dłuższą metę. Moje uszy stają się coraz większe (*śmiech...*). Wtedy nawet nie mogę spać, a jak już zasnę, to mi się ta muzyka śni na okrągło...

RS: Czy dobrze mi się wydaje, że jest też trochę tak, jak wycieczka po perfumerii, kiedy wachasz szósty zapach (próbujesz szóstą wersję melodii), to wszystko zaczyna ci się mieszać?

TG: Nie do końca tak, ale będąc w różnych pętelnach muzycznych, które się cyzeluje i sprawdza, których się słucha i słucha, i słucha, lepiej nie prowadzić pojazdów mechanicznych (*śmiech...*). To niebezpieczny stan. Czuję się wtedy jak w teledysku. Słyszę bardziej muzykę, niż rzeczywiste dźwięki dookoła. Natomiast po skończonym filmie bardzo chętnie odpoczywam i jak najdłużej nic nie robię (*śmiech...*).

RS: Imagine jeszcze jest w repertuarze kin, jednak już spokojnie można powiedzieć, że to sukces. Na rynku dostępny jest także album ze ścieżką dźwiękową prawda?

TG: Tak, album wszedł na rynek w tym samym czasie, kiedy film wchodził na ekrany kin.



fot. Piotr Gruchala

RS: Jesteś nie tylko kompozytorem tej muzyki, ale również jej wykonawcą. Jesteś basistą, ale właściwie powinienem cię nazwać multiinstrumentalistą. W ścieżce do *Imagine* grasz nie tylko na basie ale także na cajonie, gitarze dwunastostrunowej, na gitarze akustycznej, czy też na fortepianie...

TG: Basistą to już właściwie nie jestem, byłem kiedyś – teraz grywam tylko na swoich nagraniach. Co do wielu instrumentów to prawda, ale to nie są jakieś wybitne, czy wirtuozerskie partie. To nie jest trudne do zagrania.

RS: Oszczędzasz na muzykach, których trzeba zatrudnić! (śmiech...)

TG: Czasem mam do nagrania partię, która nie jest skomplikowana technicznie natomiast zależy mi bardzo, aby została wykonana tak, jak ja to słyszę w głowie. Chodzi o konkretny *feeling*, który ciężko jest opisać, nazwać i przekazać – to

są przecież niuanse. Wtedy prościej jest mi samemu zagrać taki fragment. Natomiast bardzo cenię muzyków i kiedy wiem, że nie dam rady, to wiem do kogo dzwonić, kto zrobi to doskonale.

RS: Do kogo dzwonisz?

TG: Zatrudniam tych, którzy potrafią zagrać wszystko i są doskonałymi muzykami sesyjnymi. Do *Imagine* byli to m.in.: wirtuoz flamenco Leszek Potasiński, Jacek Królik czy gitarzysta i mandolinista Leszek Matecki, który gra w praktycznie każdej mojej ścieżce, podobnie jak Mateusz Pospieszalski („Zmruż Oczy”, „Sztuczki”, „Imagine”), który przyjeżdża do mnie z akordeonem, z klarnetem basowym, z różnymi kalimbami i jak go o coś poprosisz, to on kombinuje, szuka rozwiązań – co jest nieocenione. Muzycy tego pokroju stają się w zasadzie współtwórcami tych kompozycji. Uwielbiam takich muzyków. Natomiast muzyków klasycznych cenię za

precyzję, zrozumienie intencji, za odwzorowanie wielu rzeczy praktycznie za pierwszym razem... Ale moja muzyka ma korzenie jazzowe, bo z jazzu wyrosłem i często niezbędne jest, aby pracowali ze mną jazzmeni.

RS: Powiedziałeś w jednym z filmów dostępnych w sieci, że *Imagine* – to póki co, największe wyzwanie i najtrudniejsza ścieżka w twoim dorobku. Z plotek krążących tu i tam dowiedziałem się, że praca z muzykami była dość barwna i momentami pojawiały się silne napięcia. To prawda?

TG: Jest takie filmowe porzekadło: „Śmiech na planie, płacz na ekranie...”. Kiedy przychodzi muzyk do studia i trzeba go czasem trochę pomęczyć, to bywa niełatwo. Kiedy mnie męczy reżyser i prosi o inne wersje, bo czuje, że czegoś jeszcze w muzyce brakuje (mimo że ja się namordowałem i myślę, że już jest, jak ma być), to też lecą iskry. Na koniec jednak wszyscy sobie dziękujemy, bo liczy się efekt.

RS: Na scenie jazzowej już nie bywasz. Przesiadłeś się do tylnych rzędów. Jesteś producentem muzycznym. Płyta *My One and Only Love* Roberta Majewskiego, Bobo Stensona, Palle Danielssona i Joey Barona była twoją inwestycją, czy spełnieniem długo skrywanego marzenia?

TG: Absolutnie spełnieniem marzenia. Stworzyć płytę Roberta Majewskiego z udziałem Palle Danielssona (mojego ukochanego basisty) to był cel, tyle wiedziałem. Miałem marzenie żeby razem zagrali ten repertuar, który ja miałem z tyłu głowy. Joey Barona znałem od czasu koncertu Billa Frisella w Polsce, a więc od lat

90-tych. Ten koncert miałem nagrany na VHS i każdemu bębniarzowi – z jakim współpracowałem – pokazywałem to nagranie. To był dla mnie przykład na absolutnie największą muzykalność perkusyjną. Szukałem bębniarza, który nie będzie za dużo „przeszkadzał”, który będzie umiał grać rytmicznie, grać ciszą i jednocześnie będzie posiadał tę wyjątkową umiejętność „malowania” na bębnach... Oczywiście miałem obawy, czy ci wybrani artyści się zgodą. To wielkie indywidualności, mają pełne kalendarze, mają swoich agentów i zapchane skrzynki mailowe.

RS: Ale mimo niełatwej organizacji udało się zrobić wszystko od A do Z w krótkim czasie. Przecież oni przyjechali do jakiejś Polski zagrać z jakimś trębaczem, chyba nie mieli pojęcia co to za projekt.

TG: Przyjechali w ciemno. Nadal nie wiem jakim cudem całość się udała. Mielśmy sporo szczęścia. Trwało to trzy dni, a przecież był środek zimy. Gdyby jakiś lot został odwołany, to by się wszystko rozłożyło. Nie było planu B.

RS: Czyli marzenie spełnione...

TG: Tak, bo założeniem płyty było pokazanie Roberta Majewskiego w pełnej krasie. Znamy się już 25 lat, kilka z nich graliśmy razem, jestem wielkim miłośnikiem jego grania i znam jego frazę, wiem że trzeba dać jej wybrzmieć, trzeba mu dać miejsce. Tak jak Gustaw Holoubek coś wygłaszał, to nie można było mu przerywać, czy nawet przytakiwać, trzeba było spokojnie dać mu się wypowiedzieć. Wtedy słyszało się jego frazę, jego rytm, *feeling*.



fot. Piotr Gruchala

RS: Trzeba było muzyków hamować żeby to miejsce pozostawili?

TG: Na początku nagrań miałem wrażenie, że muzycy „przykrywają” trochę Roberta, ale czekałem, bo byłem ciekawy jak to będzie się rozwijać i – co tu dużo gadać – byłem trochę onieśmielony i niezbyt chętny, żeby się przed nimi wymądrzać. Wtedy Joey Baron powiedział do mnie: „Tomek, to jest Twoje nagranie, Ty jesteś producentem i musisz nam powiedzieć, o co ci chodzi” Pomyślałem „OK” i przy następnej granej wersji przerwałem i powiedziałem „Panowie, musicie zagrać jeszcze dwa razy mniej”. Natychmiast przytaknęli i zagrali. Dokładnie tak, jak sobie to wcześniej wymarzyłem. Później przeszli do reżyserki odsłuchali fragmentów, spojrzeli na Roberta i już wiedzieli o co mi chodziło – byli pod wielkim wrażeniem jego gry.

RS: Album został doceniony Fryderykiem w kategorii Najlepszy Album Roku 2012 i zdobył miano bestsellera. Jednak to nie koniec, płyta nie jest tak całkowicie za nami prawda?

TG: Tak, moją ambicją było udokumentować filmowo to niezwykle spotkanie. W tej chwili jestem w fazie kończenia filmu dokumentalnego. Nie będzie to tylko making-of albumu, ale także bardziej pogłębione spotkanie z wyjątkowymi instrumentalistami. Ta warstwa dokumentalna ma pokazać tym, którzy nie wiedzą (albo przypomnieć tym, którzy wiedzą) – co to jest ten jazz, co to jest improwizacja, co to jest *jam session*. Wartości, które coraz częściej znikają. Prosiłem artystów żeby nie grali w słuchawkach, czy oddzielnych pomieszczeniach. Marzyło mi się, żeby usiedli razem, by album miał charakter naprawdę *live*. To słyszać, oni się widzieli tak jak na *jam session* i ten film po-

kazuje, kiedy i jak, coś w muzyce jazzowej się dzieje.

RS: Wspomniałeś o wywiadach z muzykami w ramach tego filmu dokumentalnego...

TG: Tak, przy tej rejestracji rozmawiamy. Padają pytania o ich życie, o cenę takiego życia, o samotność i ciągłą podróż. Przecież to są samotne wilki, które jeżdżą po całym świecie. Joey Baron na pytanie gdzie jest jego dom odpowiada, że jego domem jest walizka. Opowiada o tym, że jego adres zameldowania to dom jego brata, potem jest Nowy Jork – gdzie są jego bębny, potem jest Berlin itd. Parę portów do zakotwiczenia, ale nie ma czegoś takiego jak dom w naszym rozumieniu. To jest cena miłości do muzyki.

RS: Gdzie będzie można zobaczyć ten film?

TG: Będę starał się organizować pokazy. Na pewno postaram się prezentować go na festiwalach jazzowych i dokumentalnych, prędzej czy później zamieszczę go w internecie. Wszędzie gdzie będę mógł, bo myślę, że warto. Od strony technicznej – nie ma się czego wstydzić. Operatorem był Adam Bajerski – wybitny artysta, który między innymi pracuje z nami przy filmach Andrzeja Jakimowskiego. Do pomocy było jeszcze trzech młodszych kolegów Adama, bo oczywiście nie robiliśmy tego na jedną kamerę... Andrzej Kowalski jest odpowiedzialny za montaż, z czego się bardzo cieszę, bo poza fachem jaki ma w rękę, rozumie istotę rzeczy z prostego względu – też jest basistą i miłośnikiem muzyki jazzowej. Co ważne, The Chimney Pot udostępnia nam montażownię za dar-

mo, a tam są europejskie warunki – tylko ten reżyser...(śmiech...)

RS: Teraz twoja filmowa rola ma się mocno pozmieniać. Słyszałem o planach rzucenia okiem nie tylko na partyturę, ale i przez oko kamery.

TG: Lubię mieć plany. Zanim zrobiłem płytę *My One and Only Love*, sam pomysł pojawił się cztery lata wcześniej. Teraz chodzę na kurs filmowy, jestem w trakcie pisania dwóch scenariuszy, plus jeden napisany w fazie poprawek, kończę wspomniany film dokumentalny... Przesiąkłem wieloma rzeczami, będąc współproducentem filmów Jakimowskiego. Czuję, że jest to moja pasja, ale wiem ile to kosztuje, jaka jest mnogość elementów, które można po prostu artystycznie spieprzyć i jaka jest cena tej pracy. Jednak coraz bardziej mnie to wciąga i być może coś takiego zrobię. Wieczorami, jeśli mam chwilę, to pojawia się nowe hobby – pisanie scenariuszy. Spełniam się robiąc właśnie to, więc czemu nie?

RS: Po obejrzeniu *Imagine* zastanawiałem się, co u ciebie słychać, bo w świecie jazzowym już właściwie się nie pojawiaasz. A okazuje się, że ty ciągle się rozwijasz, tyle że w innej dziedzinie.

TG: Mam jakąś ciekawość i nie powstrzymuję się jeśli do czegoś mnie ciągnie.

RS: Po tylu latach nie tęsknisz jednak za sceną?

TG: Nie! To było dla mnie stresujące zajęcie, ja nie jestem taki śmiały, żeby wyłączyć na scenę i się aż tak uzewnętrzniać. Lubię to robić, ale

w sposób kontrolowany, to znaczy móc coś poprawić, a nie tak jak ma to miejsce na scenie (*śmiech...*). Nie jestem zwierzęciem scenicznym i zawsze mnie to stresowało, męczyło, naprawdę mocno się tremowałem... nie tęsknię za tym.

RS: Jako producent muzyczny masz pewien know-how w obrębie działalności fonograficznej. Wiesz to, czego trzeba nauczyć się z praktyki, bo w szkołach muzycznych takich zajęć nie ma. Wiem, że nie ma złotej recepty, ale wypracowane mechanizmy przez lata mogą być pewnego rodzaju modelem działania. Wierzę, że można się od ciebie wiele w tej kwestii nauczyć, więc powiedz jak to robisz, że wszystkie twoje produkcje odnoszą sukcesy?

TG: Wiesz, nie mam wytwórni, nie mam nawet małej wytwórni. Nie podchodzę do tego rynkowo. Trzeba szukać sponsorów – po prostu trzeba rozmawiać z ludźmi, to jest pierwsza rzecz. Jeżeli zabieram się do jakiegoś przedsięwzięcia, to jestem od początku do końca uczciwy, co jest nie do przecenienia. Zawsze mówię ludziom, czego mogą się spodziewać, jaki efekt mniej więcej otrzymają. Ponieważ mam już doświadczenie w filmach i płytach, choć nie tylko – kiedyś pomogłem wydać książkę Dawida Bińkowskiego *Jest*, uwierz mi ważne są uczciwość, entuzjazm i konsekwencja. Jeżeli tak podchodzisz do sprawy, to spośród tysiąca ludzi dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć będzie niezainteresowanych. Życzliwie się uśmiechną, podadzą rękę, pożyczą powodzenia i tyle. Natomiast jedna na tysiąc powie „wiesz co, chciałbym ci pomóc, bo mam pieniądze i widzę, że twoje działania mają sens – to mi się podoba”. Jeśli robisz autorskie rzeczy, to nie masz wyjścia – musisz zawracać

ludziom głowę. I tak naprawdę pracujesz na to całe życie. Jeżeli byłeś rzetelny, to któraś z osób, które w tym czasie poznałeś, może do ciebie wrócić, okazać się pomocna. Nie wszyscy mnie lubią, ale mam wrażenie, że nie ma ludzi, którzy powiedzą o mnie „oszust”, nie ma osoby, której obiecałbym gruszki na wierzbie. Jest tak, że wszystkie produkcje, które firmowałem, na które zdobywałem pieniądze, były rozliczane co do złotówki. I nie było tak, że powiedziałem, że zagra Joey Baron, a później wziąłem pałki i zagrałem sam.

RS: ...mogliby się połapać (*śmiech...*). Może dlatego twoje działania są tak rozłożone w czasie.

TG: Nigdy nie wchodzę w sytuacje, kiedy nie mam zebranej całej kwoty. Nie ma mowy, że zakładam, że będę płacił z zysków, bo zysków może nie być i wtedy jesteś malwersantem.

RS: Kto zatem był twoją życzliwą osobą na tysiąc?

TG: Taką najważniejszą jest Marek Fereniec – wiceprezes firmy Aegon. To on był tą osobą, która powiedziała to sakramentalne: „Proszę zadzwonić do mnie jutro, postaram się mieć jakieś dobre wiadomości”. To było przy wydaniu ścieżki ze *Zmruż Oczy...* Potem był soundtrack z filmu *Sztuczki*, płyta Ani Serafińskiej *Ciepło-Zimno* i wreszcie ta ostatnia – Roberta Majewskiego *My One and Only Love* – tego wszystkiego by nie było, gdyby nie szacunek do sztuki, energia i zaufanie, jakim od wielu lat obdarza mnie Marek. A pierwszą taką osobą...? Znałeś tę osobę, to była postać wyjątkowa, takiego pokroju, że być może poznajesz tylko jedną w swo-

im życiu. To był Michał Fogg, który pomógł wydać moją debiutancką płytę, później staliśmy się przyjaciółmi, aż do końca. Pożegnaliśmy go przecież w sierpniu zeszłego roku. O takie osoby mi właśnie chodzi. Teraz wiem, co Michał mógł czuć jak do niego przyszedłem, bo od tamtej pory raz ja komuś pomagam, raz ktoś mi – znam to już z obu stron. Obojętnie czy chodzi o książkę, film, muzykę jazzową czy niejazzową – przychodzi ktoś do ciebie z wizją, naprawdę oryginalnym pomysłem, ale takim, że wszystko się w nim zazębia i od razu wiesz, że projekt jest świetny, uczciwy, pełen pasji i wiesz, że ten twórca może być wyjątkowy, wiesz że to może być rzecz na poziomie i wiesz, niestety jeszcze jedno – że świat najprawdopodobniej będzie go miał w dupie. I że ty jesteś jedyną osobą, która może temu zaradzić, która ma szansę tchnąć w to energię, znaleźć pieniądze i doprowadzić do tego, żeby świat to jednak ujrzał. To tak, jak mijasz na ulicy potrąconego gołębia i albo weźmiesz go do weterynarza, albo pozostałe dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć osób go minie i zjedzą go koty. OK – myślisz sobie – trzeba w to wejść. Oczywiście z zabraniem gołębia do weterynarza są same problemy, a przy produkcji różnych projektów jest mnóstwo radości i pozytywnej energii.

RS: Oby pozytywnej energii było jak najwięcej! Dzięki za rozmowę.

TG: Dzięki.



fot. Bogdan Augustyniak



Planów mam dziko dużo

JazzPRESS-owi ujawnia pianista Paweł Kaczmarczyk.

Ryszard Skrzypiec: Pawle, śledząc życie jazzowe w Polsce, nie trudno nie zetknąć się z Twoim nazwiskiem. A to grasz solo, w duecie, czy z własną formacją. A to występujesz, jako członek zespołów prowadzonych przez innych muzyków. A to, wreszcie, realizujesz imprezy muzyczne. Opowiedz czytelnikom magazynu JazzPRESS, na co – z Twoim udziałem – mogą liczyć w najbliższej przyszłości?

Paweł Kaczmarczyk: Apetyt rośnie w miarę jedzenia, więc tych planów mam dziko dużo. Przede wszystkim przygotowuję aranżacje muzyki filmowej Kapera i Warsa na nową płytę krakowskiego quintetu New Bone. Jest to duże wyzwanie, ponieważ ta muzyka jest nieco archaiczna.

Przy okazji jest to temat doktoratu kontrabasisty i New Bone, i Audiofeeling Trio Macieja Adamczaka. Choć jestem zagorzałym fanem muzyki Krzysztofa Komedy, to dziwi mnie zachłystywanie się jego muzyką filmową i zapominanie o innych wielkich naszych twórcach. Wielu muzyków „piłuje” jego tematy, a nikt głośno nie mówi o tych dwóch wielkich polskich kompozytorach muzyki filmowej, którzy również osiągnęli wielkie sukcesy za oceanem. Bronisław Kaper był pierwszym Polakiem, który otrzymał Oscara za muzykę filmową w latach 50-tych. [Nagrodę otrzymał w 1953 roku za muzykę do musicalu *Lili*. Ponadto trzykrotnie był nominowany: w 1941 za muzykę do *Czekoladowego żołnierza* i dwukrotnie w 1962 za muzykę do filmu *Bunt na Bounty* oraz za piosenkę *Follow Me* z tego samego filmu. Red.] Natomiast historia

Warsa jest mocno pogmatwana. W latach 30-tych skomponował muzykę do przeszło 50-ciu filmów. To właśnie on jest twórcą tak znanych szlagierów, które każdy zna, a nikt nie wie, że to Wars. Większość jego piosenek stało się hitami polskiej muzyki, choćby wymienić m.in. „Już nie zapomnisz mnie”, „Ach śpij kochanie” czy „Sexapil”. Po wybuchu Wojny tułał się z Armią Andersa od Bliskiego Wschodu po południową Europę, a dopiero po jej ukończeniu trafił do Hollywood, gdzie m.in. skomponował motyw do znanego serialu „Bonanza”. Czas pokazał, że to jest wartościowa muzyka, która została napisana dużo wcześniej przed Komedą. Zmierzenie się z tym zagadnieniem i ujęcie to w ramy współczesnego jazzu jest dla mnie olbrzymim wyzwaniem, bo puryści jazzowi mogą pomyśleć, że będziemy grać te tematy w sposób mocno odjechany. Co prawda, trzeba się będzie ich doszukiwać, ale zostaną ujęte we współczesny idiom muzyki improwizowanej. Nowocześnie, ale nie aż tak, żebyśmy musieli dorabiać do tego jakąś ideologię. Te tematy będą rozpoznawalne, ale będą inaczej brzmiały. Tak na świeżo, żeby młodzi ludzie zakumali, że ta muzyka jest skierowana również do nich. Może dzięki temu sięgną po oryginał i pogłębią swoją świadomość muzyczną. Każdy, kto zawodowo pisze muzykę do filmu, nie pisze skomplikowanych harmonii jazzowych, ale ma za to łatwość komponowania melodii. Mam nadzieję, że już niedługo płyta będzie gotowa. W sierpniu mamy wchodzić do studia.

Odpalam swój nowy projekt Ethno Collective, do którego zaproszony został wybitny perkusjonista Mino Cinelu (Miles Davis, Stevie Won-

der), znakomity kawalista Theodosii Spassov (współpracownik Ennio Morricone, laureat nagrody Grammy), Grzech Piotrowski, Jorgos Skolias oraz muzycy mojego Audiofeeling Trio. To skład zapowiadający, że będzie się naprawdę „grubo” działo. Idea kolektywu polega na tym, że każdy z muzyków musi przynieść dwie kompozycje i nauczyć resztę zespołu, w jaki sposób je zinterpretować. Myślę więc, że to będzie bardzo ciekawe przeżycie i spora lekcja pokory dla mnie. Odbędzie się tylko jeden koncert w Lidzbarku Warmińskim w trakcie Lidzbarskich Wieczorów Jazzowych.

Wcześniej jeszcze gramy z Patchesem Stewartem (Marcus Miller) oraz Grzechem Piotrowskim koncerty zatytułowane „GLOBAL SOUND”, gdzie będę miał przyjemność zagrać ze znakomitym perkusistą Poogie Bellem (Erykah Badu), genialnym gitarzystą basowym Hadrienem Feraud (John McLaughlin, Chick Corea) oraz Markiem Napiórkowskim.

Co się jeszcze dzieje? Silnie pracujemy nad zdobyciem pieniędzy na nagranie płyty Audiofeeling Trio. Być może ukaże się ona w ACT-cie, być może nie. Czas pokaże. Wszystko się wkrótce rozstrzygnie.

RS: Realizujesz także cykl koncertów pod tytułem „Directions in Music”. I co z nim?

PK: To jest niekończąca się opowieść. Aktualnie odgałęzieniem Directions in Music będzie ukłon w stronę słuchaczy, którzy bardziej interesują się soulem, groovem. Pracuję nad cyklem „Soul Station”, który zapoczątkujemy już w lip-

cu albo najpóźniej w sierpniu. Do tego projektu będą zapraszani raperzy, DJ-e, oraz znakomici muzycy z zagranicy.

RS: „Directions in Music”, „Soul Station” będą ograniczać się do wersji koncertowych czy myślisz o jakichś nagraniach?

PK: Ja mogę to nagrywać, tylko kto to wszystko sfinansuje? Po każdym koncercie wiele osób mnie pyta, „dlaczego tego nie nagrywamy?”. Z przyjemnością, ale nie chcielibyśmy nagrywać koncertów, bo uważam, że płyta powinna być produkcyjnie tak zrobiona, żeby można było zapanować nad przekazem. Jesteśmy tak walnięci na scenie, że okazuje się, że wszystko idzie „na boki”, czego zresztą nie powstrzymujemy, bo – jak mówił nieżyjący już Michael Brecker „Błędy traktujemy, jako punkt wyjścia dla nowych konstrukcji”, więc to jest dla nas pretekstem do improwizacji.

RS: Poza jazzem i różnymi jego pochodnymi czy też pokrewnymi, grasz w takich konfiguracjach z jazzem niemających wiele wspólnego.

PK: Mówisz o DJ-ach? Tak, nawiązałem współpracę z osobą, z którą znałem się od wielu lat. Chodzi tu o znakomitego perkusistę groowego Filipa Mozula z Krakowa. On mnie zaprosił do kilku projektów, które się odbywają we współczesnych klubach muzycznych, czyli można powiedzieć, lepszych dyskotekach. Generalnie nie szanowałem takiej muzyki, dlatego że większość DJ-ów w Polsce niestety ma niewielkie pojęcie o muzyce i jej przekroju. Swego czasu grywałem z dj Blekiem coś w formie live

act-u, tylko z popisanymi partyturami, gdzie dogrywaliśmy wraz z Filipem Mozulem i gitarzystą Krzysztofem Nakończym żywe dźwięki do muzyki, którą Blek miksował. I to miało za zadanie ożywiać „muzycznego trupa” puszczanego na automacie z decków. Dziwnym trafem to były dla mnie ciężkie grania. To już nie jest formuła koncertu, tu chodzi o to, żeby ci ludzie się dobrze bawili, a żeby się dobrze bawili a nie słuchali, to ten pokaz nie może zaczynać się zbyt wcześnie (śmiech). Raz się zdarzyło, że graliśmy za wcześnie taki show i ludzie chyba nie byli w zbyt szampańskim nastroju. Tak się wkręcili w muzykę, że przestali tańczyć. Naszym zadaniem jest uczulać ich na różnicę pomiędzy muzyką serwowaną przez automat, a graną przez żywego muzyka. Myślę, że w niedalekiej przyszłości odpalimy jeden zespół z dj Krime’em, który od wielu lat grywa z jazzmenami. Z paryskim dj-em Tom’em Amerim, pracujemy nad połączeniem deephouse’u z muzyką improwizowaną. To trochę odejście od klimatu „piekła” dyskoteki, w wakacyjnie relaksujący przelot ciepłego wieczoru w towarzystwie finezyjnego drinka ze słomką.

To ma wymiar edukacyjny, mający na celu odwrócenie się od dennych produkcji renesansu królującego ostatnio disco polo. W mojej opinii to był duży błąd, że ktoś pozwolił na zaistnienie tego na tak dużą skalę. To oznacza cofanie się. Przez wieki wzbogacamy swoją świadomość, nie zachowujemy się jak troglodyci, a tu jakiś decydent robi krok do tyłu i nam się wydaje, że to jest takie zajebiste, bo wszyscy to łykają. Bo to prowadzi do sytuacji, w której – jak to swego czasu na swoim blogu zauważył Grzech

Piotrowski – bardzo dobrzy muzycy zaczęli spłycać swoją muzykę w celach zarobkowych na początku mówiąc, że to tylko żart. Nie nawołuję do krucjaty przeciwko niewybrednym gustom, bo to nie o to chodzi, ale raczej o to, żeby z należyty szacunkiem sprzedawać słuchaczom dobrą muzykę, sztukę, poezję, generalnie kulturę.

Kiedy usłyszałem, że na krakowskich „Wiankach” mają grać Verdiego i Wagnera, wystąpi Nigel Kennedy z Kroke to pomyślałem, że są organizatorzy, którzy jeszcze promują dobrą muzykę. Co prawda, część młodzieży nie jest zadowolona z tego repertuaru i choć schleją się tak jak zawsze, to na szczęście przy okazji posłuchają dobrej muzyki. I może do jednej lub drugiej głowy trafi coś, dzięki czemu ich wyobraźnia zacznie się pogłębiać.

RS: A zatem wpisujesz się we współczesne trendy muzyczne polegające na przekraczaniu stylistycznych i międzygatunkowych granic?

PK: Tak, nie siedzę cały czas tylko w jazzie. Interesuję się muzyką DJ-ską, muzyką soulową. Jeżdżąc za granicę, kupuję płyty rodzimych artystów folkowych. Przez festiwal Jazz Juniors, którego jestem dyrektorem artystycznym, od roku próbuję łączyć kontakty i ściągać artystów do Krakowa. Okazuje się, że to co robią Romowie, to jest jakiś odjazd – deklasacja – jeśli chodzi o poziom zaawansowania technicznego w Europie. To, co robią na Bałkanach, to jest muzycznie wybitne na skale światową. I oni grają jazz, ale nie typu blues i standardy. Prowokują grubą jatkę improwizując na scenie,

jednocześnie operują swoim indywidualnym językiem muzycznym wywodzącym się z danego regionu pochodzenia. To obraz współczesnej muzyki improwizowanej.

Wywiad odbył się 17 maja, po koncercie, jaki Audio-feeling Trio Pawła Kaczmarczyka dało w tymiskim Miejskim Centrum Kultury. Formacji towarzyszył saksofonista Grzech Piotrowski. Zespół, pomimo tego, że ma już przygotowany nowe kompozycje, to w ten piątkowy wieczór zaprezentował materiał z wydanej przed kilkanaście laty przez ACT płyty *Complexity in Simplicity*. Dobór programu podyktowany był udziałem gościa. I choć od wydania płyty upłynęły cztery lata, to muzyka z krążka się broni. W koncertowym wydaniu, dopełniona brzmieniem saksofonu Grzechy, brzmi świeżo. Paweł Kaczmarczyk zapowiedział koncerty, jako „próbę generalną” przed występami w Rumunii. Po występie pozostaje tylko westchnąć „Gdyby wszyscy tak próbowali.”

(rs)

Fascynowała mnie wolność i muzyczna przestrzeń jazzu

Zdradza Monice S. Jakubowskiej i Sławomirowi Ornatowi Tomasz Furmanek

Tomasz Furmanek – mieszkający w Londynie songwriter i wokalista jazzowy w ostatnich latach mocno zaangażowany jako organizator, promotor koncertów i wydarzeń muzycznych. Miłośnik jazzu i jego nieustrudzony popularyzator. Związany z londyńskim Polish Jazz Cafe, gdzie chętnie przebywa jako słuchacz i jako organizator wydarzeń artystycznych. Autor wielu artykułów o tematyce jazzowej publikowanych m.in. w Jazz Forum. Postać popularna w kręgach artystycznych brytyjskiej stolicy. Człowiek, dzięki któremu Polacy przebywający z dala od Ojczyzny mogą regularnie obcować z talentem Krystyny Prońko. W roku ubiegłym, Tomasz po raz pierwszy zorganizował recital tej damy polskiej piosenki dla publiczności brytyjskiej w cenionym nad Tamizą klubie The Pheasantry. Wkrótce, wraz z Anitą Wardell, po raz kolejny podejmie się zaaranżowania bardzo dobrze przyjętego rok temu przez międzynarodową publiczność i brytyjską prasę jazzową Songsuite Vocal Festival, który odbędzie się w dniach 21-23 czerwca. Przed rokiem był gościem audycji radiowej Polisz Czart na antenie Radia Verulam w St. Albans, którą podobnie, jak dzisiejszy wywiad, miałem przyjemność zrealizować wraz z Moniką S. Jakubowską. Tomek przypominał wówczas swoją muzyczną przygodę z Krystyną Prońko i zaprezentował jej nagrania. Dziś z zadowoleniem zapowiadam kolejny program na tej samej antenie z udziałem naszego rozmówcy, który odbędzie się już w poniedziałek 17-go czerwca o godzinie 22:00 (czasu polskiego). Tomasz Furmanek opowie słuchaczom o szczegółach tegorocznego Songsuite Vocal Festival, a słuchowisko będzie muzycznie zilustrowane nagraniami niektórych jego uczestników. Audycji będzie można wysłuchać pod adresem: www.radioverulam.com/player/. Przy okazji dyskretnie informuję czytelników JazzPRESS-u, że program będzie dodatkowo naszym prezentem dla Tomasza, który tego dnia świętuje swoje kolejne urodziny.

Sławomir Orwat: Od kiedy śpiewasz?

Tomasz Furmanek: Od „dobrych paru lat” nie śpiewam czynnie (z bardzo małymi wyjątkami). Pochłonęła mnie działalność impresaryjno-dziennikarska, ale tak naprawdę to śpiewam „od zawsze”. Byłem tak zwanym rozśpiewanym dzieckiem, założyłem wiele zespołów we wczesnej młodości i brałem udział w wielu projektach muzycznych. Jednakowoż wołałbym się skupić podczas naszej rozmowy, jeśli nie macie nic przeciwko temu, na mojej obecnej działalności, a w szczególności na projekcie, który nazywa się Songsuite Vocal Festival.

SO: Czy w jazzie zakochałeś się od pierwszej kompozycji, jaka wpadła Ci w ucho?

TF: Jazz nie był moją jedyną fascynacją muzyczną, ale zdecydowanie pociągał mnie od młodych lat i jest moją najważniejszą muzyczną miłością! Zawsze fascynowała mnie wolność i ogromna muzyczna przestrzeń, którą jazz w sobie zawiera, która jednak musi być poparta niezwykłą muzykalnością i umiejętnościami, aby być twórczym i wykreować coś wyjątkowego w tym gatunku muzycznym. W jazzie bardzo trudno oszukiwać – i za to też jazz tak bardzo cenię!

Monika S. Jakubowska: Jak poznałeś Krystynę Prońko, jaką rolę odegrała – i wciąż odgrywa – w Twoim życiu artystycznym?

TF: Krystynę Prońko poznałem jeszcze w latach 90-tych ubiegłego stulecia, czyli dość dawno temu. Pracowałem wtedy w dziale promocji w jednej z warszawskich wytwórni fonograficznych. Poznaliśmy się przy okazji jakiegoś wydarzenia towarzysko-muzycznego. Już wtedy rozmawialiśmy o wspólnej pracy na polu uczeń – pedagog. Promowałem wtedy swój album wydany pod szyldem Fo.Pa. Chciałem rozwinąć się wokalnie. Kilka lat później, gdy byłem studentem Warszawskiej Niepublicznej Szkoły Artystycznej im. Jerzego Wasowskiego w klasie wokalistyki jazzowej, los sprawił mi uroczy prezent – nagle pojawiła się tam, jako pedagog Krystyna Prońko i zaczęliśmy pracować wspólnie nad emisją głosu i repertuarem. Po moim wyjeździe do Londynu kontakt był podtrzymywany. Bardzo zapaliłem się do pomysłu, aby tę nieprzeciętną wokalistkę sprowadzić do Londynu. Jak się okazało, pomysł był strzałem w dziesiątkę i Krystyna Prońko do dziś dnia występowała w Londynie już kilkakrotnie, nie tylko dla polonijnej publiczności. Zawsze bardzo ceniłem Krystynę Prońko, jako wokalistkę – praktycznie od najmłodszych lat. Uważam, że jest niezwykłym talentem wokalnym, ma niespotykany głos, ma swój niepowtarzalny styl wokalny, nikt nie śpiewa tak jak ona, a ona nie jest pod niczym wpływem. Jest oryginalna. Mimo, iż za sprawą utworu „Jesteś lekiem na całe zło” jej nazwisko trafiło pod tzw. strzechę, uważam, że Krystyna Prońko jest w Polsce wciąż w pewien sposób niedoceniana lub nie należycie doceniana, a jej nieprzeciętny talent nie do końca wykorzystany... To przecież też prawdziwa wokalistka jazzowa, niezwykle utalentowana i charyzmatyczna!

SO: Krystyna Prońko włączyła niedawno do swojego repertuaru jedną z Twoich kompozycji, którą wykonywałeś znacznie wcześniej. Czy mógłbyś opowiedzieć tę historię?

TF: To bardzo prosta historia... Podczas nauki w szkole wokalne, pracowałem równocześnie nad materiałem na swój drugi album. Podczas zajęć z Krystyną prezentowałem jej niektóre utwory, aby trochę nad nimi popracować. Bardzo spodobała jej się piosenka „Dążenie” (nie miała jeszcze wtedy polskiego tytułu). Zapytała mnie, czy mogłaby włączyć ją do swojego repertuaru. Oczywiście byłem taką propozycją zachwycony. Dlaczego trwało to tak długo? Krystyna Prońko chciała zamieścić ten utwór na swoim kolejnym albumie z premierowym materiałem. Sęk w tym, że... od tamtej pory artystka nie wydała albumu z premierowym materiałem! Wydała kilka krążków, ale w każdym przypadku był to materiał tzw. składankowy, czyli utwory wcześniej już nagrane lub tzw. covery (jak na albumie „Po prostu jestem...” – piosenki z lat 50-tych i 60-tych). Jednakowoż utwór „Dążenie” został wydany na płycie w zeszłym roku na albumie Krystyna Prońko „Trio live”.

MSJ: Od kiedy zajmujesz się organizacją jazzowych eventów w Londynie i które z nich najlepiej wspominasz?

TF: O ile dobrze pamiętam, pierwszym jazzowym koncertem, jaki zorganizowałem w Londynie był koncert Christine Tobin w Jazz Cafe POSK w 2009 roku, a więc to już jakieś 4, 5 lat temu! Christine była wtedy świeżo po otrzymaniu prestiżowej nagrody BBC dla najlepszej

jazzowej wokalistki w Wielkiej Brytanii. Przybyła liczna publiczność, byłem bardzo podekscytowany... Bardzo miło wspominam oczywiście koncerty Krystyny Prońko. Za każdym razem jej wierna publiczność okazywała się niezawodna i panowała bardzo szczególna atmosfera. Najmilej chyba jednak wspominam koncert Alice Zawadzki. Było dokładnie tak, jak sobie wymarzyłem – wspaniała publiczność, która rzeczywiście przyszła posłuchać tej właśnie artystki i która chłoneła każdy dźwięk. Doskonała Alice i jej zespół, bardzo wyjątkowa atmosfera – był to pierwszy koncert tej artystki dla polskiej publiczności, było wręcz wzruszająco... Alice dała z siebie wszystko... Pośród publiczności byli rodzice tej wyjątkowo utalentowanej wokalistki i skrzypaczki, także jej bracia i jeszcze kilkoro członków jej rodziny. Niektórzy z nich przyjechali specjalnie spoza Londynu...

SO: Co to jest Songsuite Festival i kto jest pomysłodawcą tego przedsięwzięcia?

TF: Songsuite Vocal Festival jest to festiwal, którego drugą edycję właśnie skończyłem przygotowywać razem z Anitą Wardell i Polish Jazz Cafe. Jest to festiwal wokalny, który po raz pierwszy odbył się w zeszłym roku w maju. W tym roku odbędzie się w czerwcowy weekend – od 21 do 23. Przyznam nieskromnie, że w zeszłym roku Songsuite odniósł dość spory sukces, więc kontynuujemy... :-) Mniej więcej jakieś dwa lata temu zaprosiłem Anitę Wardell do Jazz Cafe POSK oraz promowałem tamże jej występ. Anita szybko zauważyła ogromny potencjał polskiego klubu i spodobał się jej mój entuzjazm. Podczas któregoś ze spotkań Ani-

ta wspomniała, że może byśmy stworzyli razem festiwal wokalny i tak od słowa do słowa narodził się Songsuite. Marek Greliak, twórca Polish Jazz Cafe oraz – ówczesny manager klubu – otworzył się na ten pomysł, obdarzył mnie zaufaniem, wsparciem i wkrótce, w niemalże rekordowym tempie powstała pierwsza edycja festiwalu. Obecny manager, Piotr Kaczmarek, dał się przekonać do kontynuowania pomysłu i właśnie zbliża się drugi festiwal Songsuite!

MSJ: Czy dzięki temu festiwalowi masz nadzieję na rozpularyzowanie jazzu wśród polskiej publiczności, czy chcesz przyciągnąć międzynarodową widownię?

TF: Tak, zdecydowanie mam taką nadzieję. Publiczność Polish Jazz Cafe w umiarkowanym tempie, ale systematycznie wzrasta, więc ta popularyzacja się dzieje! W ciągu ostatnich kilku lat Polish Jazz Cafe stała się ważnym miejscem na jazzowej mapie Londynu, znakomici artyści brytyjscy, polscy oraz z wielu innych krajów zabiegają o to, aby tu wystąpić, a kolejka jest spora... Coraz częściej brytyjskie pisma zamieszczają zapowiedzi koncertów lub recenzje koncertów z naszego klubu. Publiczność brytyjska czy międzynarodowa jest również bardzo ważna, gdyż jednym z moich założeń przy organizacji festiwalu była i jest integracja brytyjskiej i polskiej sceny jazzowej ze szczególnym uwzględnieniem artystów polskich żyjących i działających na terenie Wielkiej Brytanii... Festiwal Songsuite jest promowany szeroko zarówno wśród polonijnej jak i brytyjskiej publiczności – to służy wszystkim – przyciągnięcie międzynarodowej publiczności do klubu

w konsekwencji pomaga promować szerzej i skuteczniej polskich wykonawców...

SO: W roku ubiegłym na Songsuite Festival ogromny sukces odniosła ceniona w polskim środowisku jazzowym Dominika Zachman. Pisał o tym Sebastian Scotney w popularnym magazynie jazzowym London Jazz. Kogo poza Dominiką publiczność zapamiętała najbardziej i jak Ty sam oceniasz ubiegłorocznych wykonawców?

TF: Dominika rzeczywiście przedstawiła bardzo ciekawy i dopracowany program, zaprosiła doskonałych muzyków i był to świetny występ! Pozytywne recenzje są w jej przypadku absolutnie uzasadnione. Myślę, że bardzo szczególnym przeżyciem dla sporej części publiczności był wysublimowany recital wielkiej Normy Winstone – z radością informuję, że Norma Winstone wystąpi również podczas tegorocznego festiwalu z nowym programem – opartym głównie na materiale muzycznym z jej ostatniego albumu „Mirrors” i z innym składem muzyków. Bardzo podobały się również Jacqui Dankworth, Monika Lidke... i oczywiście Anita Wardell... Myślę, że każdy mógł znaleźć coś dla siebie.

MSJ: Już wspominałeś, że współtwórczynią festiwalu jest Anita Wardell. Powiedziałeś też o początkach Waszej współpracy... Co ta uznana wokalistka jazzowa wniosła w Twoje życie na Wyspach?

TF: Poza byciem współtwórczynią festiwalu, Anita jest również cenionym pedagogiem, co umożliwiło nam wzbogacenie programu festiwalu o towarzyszące mu jazzowe warsztaty wokalne na najwyższym poziomie. Sam, będąc

wokalistą, pracowałem przez jakiś czas i nadal od czasu do czasu pracuję z Anitą, jako z vocal coach. Tak się zaczęła nasza współpraca.

SO: Czym zaskoczysz nas w tym roku? Czy ubiegłoroczne doświadczenia pozwoliły Tobie i Anicie na jeszcze lepsze przygotowanie tego wydarzenia? Jacy artyści pojawią się tym razem?

TF: Myślę, że w tym roku będziemy trzymać się podobnej formuły jak poprzednio. Skoro okazała się skuteczna – nie należy jej zmieniać. Nowym pomysłem jest specjalny show w programie festiwalu, podczas którego wystąpią wszyscy uczestnicy festiwalowych warsztatów – na profesjonalnej scenie, z doskonałym zespołem! Oprócz wspomnianej wcześniej Normy Winstone będziemy mieli okazję wysłuchać i obejrzeć tak wyjątkową i kreatywną artystkę jak Brigitte Beraha, doskonała Alice Zawadzki, stylowa Juliet Kelly czy swingująca w najlepszym stylu Trudy Kerr... Ciekawy program przedstawi mieszkająca w Londynie polska wokalistka i skrzypaczka Agata Kubiak... Nie mogliśmy pominąć Moniki Lidke, która od czasu ostatniego festiwalu przygotowała 2 nowe świetne albumy i pomimo obowiązków macierzyńskich dynamicznie rozwija się i koncertuje! Anita Wardell przedstawi zupełnie nowy program... Będzie ciekawie i ekscytująco! Mówiąc szczerze, już myślę o przyszłorocznej edycji festiwalu, choć trudno mi obecnie deklarować, w jakim kierunku festiwal podąży... Osobiście chciałbym podążać w kierunku zapraszania również wybranych artystów z Polski i stworzyć coś w rodzaju polsko-brytyjskiej wymiany jazzowej!



SO: Rola jazz Cafee POSK na kulturalnej mapie Londynu jest dla fanów muzyki improwizowanej niezwykle ważna. Jakie masz zdanie o tej instytucji i czym jeszcze mógłbyś wzbogacić jej działalność, gdybyś miał taką możliwość?

TF: Ja naprawdę uwielbiam Polish Jazz Cafe, to miejsce ma świetną atmosferę! Ponadto ma doskonałe nagłośnienie, świetnie się prezentuje i ma mnóstwo innych zalet... Oczywiście mam wiele pomysłów na nowe koncerty, imprezy a nawet festiwale, ale nie chcę ich w tej chwili zdradzać... (śmiech) Bardzo chciałbym mieć możliwość zapraszania do Polish Jazz Cafe – niekoniecznie tylko na festiwal – większej ilości artystów z Polski, ale do tego niestety niezbędni są sponsorzy. Polscy artyści najczęściej nie mają pojęcia za jakie stawki występują w klubach londyńskich lokalne, a nawet bardzo duże gwiazdy – myślę, że mogli by być zaskoczeni (śmiech). W Londynie klubów jazzowych jest wiele, więc artyści mają możliwość występowania częściej, natomiast za niższe stawki. Gaże naszych artystów bardzo często są po prostu zbyt wysokie na tutejsze realia; inaczej jest, gdy impreza lub klub posiada sponsora.

MSJ: Jazz Cafè Posk to miejsce najczęściej odwiedzane przez Polaków. Czy cieszy się także ono dobrą sławą wśród brytyjskich muzyków i czy jest ktoś z nich szczególnie bliski?

TF: Muszę z przyjemnością przyznać, że Polish jazz Cafe cieszy się bardzo dobrą sławą wśród brytyjskich muzyków, którzy bardzo chętnie tu występują. Jest to miejsce – myślę – bliskie wielu muzykom, którzy są już zaprzyjaźnieni z klu-

bem. Mógłbym wymienić wiele nazwisk, ale wspomnę tylko chociażby o Big Bandzie Williego Garnetta – weterana brytyjskiego jazzu, fenomenalny Gilad Atzmon często tu występuje, Asaf Sirkis, Georgia Mancio, Gil Manly uwielbia to miejsce... Myślę, że nasz klub stał się bliski fantastycznej Alice Zawadzki – z wzajemnością – podczas festiwalu wystąpi tu po raz drugi w tym roku, a w planach mamy już trzeci koncert jesienią w ramach London Jazz Festival! Uogólniając – w zasadzie wszyscy artyści, którzy u nas występują, naprawdę chętnie wracają!

SO: Czwarte i piąte urodziny Jazz Cafee POSK, to wydarzenia, w których miałeś swój organizacyjny udział poprzez występ Krystyny Prońko w obu tych rocznicach. Pani Krystyna – także dzięki Twojej pracy organizacyjnej – wystąpiła w prestiżowym klubie jazzowym The Pheasantry. Czy można powiedzieć, że znacząco przyczyniłeś się do popularyzacji jej talentu na Wyspach?

TF: Myślę, że w takim stwierdzeniu byłaby pewna przesada. Wśród polskiej publiczności, mieszkającej w Londynie, Krystyny Prońko popularyzować nie trzeba. To zdumiewające, jak wierną i dużą publiczność ma ta artystka, wystarczy więc jedynie nagłośnić i promować sam koncert! Dodam jednak, że udało nam się również przyciągnąć trochę młodszej publiczności, która nie mogła być wiedzona sentymentem, więc może tylko do pewnego stopnia przyczyniłem się do tej popularyzacji (śmiech). Jeżeli zaś chodzi o koncert w znanym klubie The Pheasantry, artystka zrobiła tam ogromne wrażenie. Były bardzo pozytywne komentarze,

doceniono niezwykłość jej głosu i profesjonalizm. Przyznam się, że mam pomysły na dalszy ciąg „londyńskiej przygody Krystyny Prońko”, ale na razie cicho sza! (śmiech)

MSJ: Wschodzące gwiazdy jazzu na scenie brytyjskiej... Kogo byś wymienił? Czy są wśród nich Polacy mieszkający w Londynie?

TF: W Londynie mieszka, tworzy, kształci się i występuje tak wielka ilość niezwykle utalentowanych i doskonałych muzyków, że praktycznie codziennie odkrywa się jakaś doskonałość lub słyszy się o nowym talencie! Wymienię tu może jedynie kilka nazwisk muzyków, którzy ostatnio zwrócili moją uwagę lub zrobili wrażenie swoją grą. Będą też akcenty polskie... Ed Richardson – niezwykle utalentowany młody perkusista, wokalistka Emma Smith to spory talent, Sandy Suchodolski – doskonały kontrabasista, pianista Bruno Heinen, jeszcze jeden niezwykle kreatywny pianista Alex Hutton, saksofonista Leszek Kulaszewicz, Emiliano Franco – kompozytor i perkusista, Brigitte Beraha, oczywiście Monika Lidke i Dominika Zachman, bezapelacyjnie Alice Zawadzki i jej muzycy – każdy z nich zaangażowany jest w inne niezwykle projekty muzyczne jak Otriad czy Troyka... Związana z Polish Jazz Cafe grupa Groove Razors świetnie radziła sobie na niwie muzyki fusion i wydała bardzo dobry album. Mam nadzieję, że następny będzie niebawem. Tak naprawdę, to długo mógłbym wymieniać....

MSJ: Czy organizowanie koncertów, bycie jednoosobowym impresariatem jazzowym, jest równie satysfakcjonujące jak muzykowanie na scenie?

TF: To dwie dość różne formy działalności, ale wiele je łączy. Przede wszystkim promowanie artystów i muzyki jazzowej daje mi mnóstwo satysfakcji i głównie satysfakcji (śmiech). Bardzo mocno przemawia do mnie zdanie „let's keep live music alive!” Jazz to muzyka niszowa, warta nieustającego propagowania! Jazz to forma sztuki, a sztuka dużo więcej dla mnie znaczy niż rozrywka, chociaż czasami te dwa określenia mogą się połączyć...

SO: Czy z Twoim dotychczasowym dorobkiem organizacyjno-artystycznym na Wyspach czujesz się już całkowicie spełniony, czy chowasz w zanadrzu jeszcze jakieś niespodzianki, którymi nas w najbliższej przyszłości zaskoczysz?

TF: Jestem daleki od stwierdzeń tego typu. Lubię i chcę rozwijać się w wielu kierunkach równocześnie i nie sądzę, abym szybko lub nawet kiedykolwiek dotarł do punktu, w którym powiem „jestem spełniony i już!” (śmiech). Mam oczywiście wiele pomysłów na przyszłość, myślę też od pewnego czasu o swoim własnym projekcie muzycznym, ale czas pokaże, jak te plany się rozwiną...

MSJ: Gdzie najchętniej chadzasz, gdy chcesz posłuchać muzyki na żywo? Masz swoje ulubione miejsca?

TF: Takich miejsc jest wiele. Poza Polish Jazz Cafe, które naprawdę uwielbiam, lubię też takie kluby jak Vortex, Ronnie Scott's, sale koncertowe jak Barbican... Naprawdę, w Londynie jest w czym wybierać!

SO: W naszym londyńskim świątku jazzowym mamy wiele znamienitych postaci. Sporo z nich pojawiło się już na łamach JazzPRESSU-u jak choćby Maciek Pysz, Monika Lidke, AliceZawadzki, Sabio Janiak, Kuba Cywiński. Kogo Ty cenisz najbardziej i czy docierasz do wszystkich muzyków jazzowych z polskimi korzeniami. Zauważyłem niejednokrotnie, że niektórzy z nich nie znają zbyt dobrze nawzajem samych siebie.

TF: To prawda, zdarza się, że nawet muzycy o polskim pochodzeniu niekoniecznie znają się wzajemnie (śmiech). Będę się powtarzał, ale scena muzyczna – w tym jazzowa – w Londynie jest tak obszerna, że praktycznie niemożliwym jest ogarnięcie wszystkiego! Cenię wszystkie wymienione przez Ciebie postaci, dodałbym jeszcze Dominikę Zachman, Katy Carr (choć to nie jest artystka jazzowa, jednak niezwykła), Sandy’ego Suchodolskiego, Tomasza Żyrmonta, Agatę Kubiak, Leszka Kulaszewicza... Przepraszam, jeżeli kogoś pominąłem – niezamierzenie!

SO: Czy oprócz tego, że śpiewasz, grasz na jakimś instrumencie? Może jest taki, który jest Twoim niespełnionym marzeniem?

TF: Nie jestem instrumentalistą, aczkolwiek gram trochę na instrumentach klawiszowych. Potrafię „korzystać” z pianina przy opracowywaniu utworu wokalnego. Moim niespełnionym marzeniem jest gra na saksofonie. Myślę jednak, że być może jeszcze uda mi się spełnić to marzenie! (śmiech)

MSJ: Na czym polega Twoja rola jako muzyka i miłośnika muzyki jazzowej – organizowa-

nie koncertów sław, czy może idziesz dalej i chcesz pomagać młodym artystom wypłynąć na szersze wody? A może, tak jak wspominałeś – przedstawienie brytyjskiej publiczności polskich muzyków?

TF: Zdecydowanie po trochu ze wszystkich wymienionych ról... Jeżeli chodzi o organizowanie koncertów tzw. „sław”, to bardzo ważnym jest dla mnie to, żebym taką sławę naprawdę cenił i był pod jej wrażeniem – zarówno, jako muzyka jak i osoby.

Bardzo chcę pomagać młodym utalentowanym artystom – w granicach swoich możliwości oczywiście. Przedstawianie wybranych artystów polskich brytyjskiej publiczności, to bardzo pociągające wyzwanie! Doskonałych muzyków mamy w Polsce bardzo wielu, kwestia w tym, jak ich promować – chyba lubię trudne zadania! (śmiech).

MSJ: Skoro organizujesz koncerty innym artystom, a sam jesteś muzykiem, kiedy możemy spodziewać się koncertu Tomasza Furmanka i z jakim repertuarem?

TF: Ostatnio częściej o tym myślę i brakuje mi zarówno śpiewania jak i tworzenia, kreowania muzyki. Być może za jakiś czas, rzeczywiście coś się wydarzy na tym polu. Repertuar... znając mnie, zapewne będzie poruszał się na granicy różnych stylów, ale zdecydowanie będzie miał wiele wspólnego z jazzem. Być może połączenie jazzu i progresywnej, eksperymentalnej elektroniki?... Albo może coś jeszcze zupełnie innego...? (śmiech)

Oto lista niektórych jazzowych eventów przewidzianych w Londynie od czerwca do sierpnia, które Tomasz Furmanek uważa za godne polecenia:

03/06 Vortex – Alex Roth's Otriad

10-11/06 Ronnie Scott's – Al Di Meola plays Beatles and more...

14-14/06 Vortex – Gilad Atzmon & The Orient House Ensemble plays Songs of the Metropolis

21-22-23/06 The Polish Jazz Cafe – Songsuite Jazz Vocal Festival with Norma Winstone, Anita Wardell, Alice Zawadzki, Juliet Kelly and many more...

28/06 Barbican Centre – Laurie Anderson and Kronos Quartet

29/06 The Polish Jazz Cafe – Alex Hutton Trio (with Asaf Sirkis on drums)

30/06 606Club – Liane Carroll

06/07 Ronnie Scott's – Oleta Adams

08-09-10-11/07 Ronnie Scott's – Cassandra Wilson

11/07 Barbican Centre – Rickie Lee Jones

12/07 Barbican Centre – John Zorn and guests

17/07 Pizza Express Jazz Club Soho – Asaf Sirkis Trio album launch (with Yaron Stavi on bass)

23-24/07 Ronnie Scott's – Wynton Marsalis Quintet

29-30/07 Ronnie Scott's – Pharoah Sanders

24/08 The Polish Jazz Cafe – Shez Raja Collective



fot. Bogdan Augustyniak



Polska jest krajem znajdującym się pod największym wpływem Stanów Zjednoczonych

Roch Siciński: Co słysząc w Lizbonie? Powiedz, czemu w ogóle tam mieszkasz?

Gabriel Ferrandini: Mógłbym zacząć od tego, że moja mama jest Brazylijką, tata pochodzi z Mozambiku, a ja urodziłem się w Stanach. Moi rodzice byli zmęczeni Ameryką, chcieli sprowadzić się do Europy. Mieliśmy tu rodzinę, a językowo Portugalia była najprostszym rozwiązaniem, poza tym są tu naprawdę niezłe warunki pogodowe i...

RS: ...to wszystko rozumiem. Pytam, dlatego że jeździsz po całym świecie i nie uwierzę, że nie masz argumentów muzycznych, by mieszkać w Lizbonie.

GF: Tak, te argumenty pojawiły się stosunkowo niedawno i teraz mogę je nazwać. Zdarzało się i nadal zdarza mi się zastanawiać czy nie powinienem się przenieść, czy nie siedzę tu już zbyt długo. Pytanie, jakie się pojawia to najzwyklejsze „gdzie indziej?”. Stany Zjednoczone są miejscem, w którym dobrze jest bywać, fajnie je odwiedzać, ale zdecydowanie nie nadają się do stałego zamieszkania. Tam nie jest lekko, a na pewno nie jest lżej niż w Europie. Rozmawiam z artystami wielkiego formatu, którzy uciekają ze Stanów tutaj, bo w Europie potrafią sobie poradzić grając improwizowaną muzykę. Ameryka jest dobra do przygód czy inspiracji – niech tak pozostanie. W Portugalii czuję się czasem jak w miejscu, gdzie muzyka jest aż za bardzo free, gdzie forma jest za bardzo otwarta. Bywa,

że patrzę i słucham z niedowierzaniem, bo ktoś potrafi wyjść na scenę, a ty nie słyszysz w jego muzyce inspiracji nikim i niczym! To jest niewarygodne! Czujesz, że jest to bardzo świeża muzyka i to jest ważne. Czasem myślisz sobie „O co chodzi!?! To jest dalej muzyka? Gdzie to zmierza?!”. Szkoda, że ja i paru innych gości ciągle tworzymy tu najmłodsze muzycznie pokolenie. Ciekaw jestem co będzie kiedy pojawi się następne. W tym roku skończę 27 lat i chciałbym zagrać z przedstawicielem jakiejś kolejnej fali w Lizbonie. Choć myślę o tym czasami i to może być fala tak konkretnie szalona, że mało kto to chwyci. Ale będzie nas napędzać, znowu będzie można uczyć się od nowych, analizować i zachwycać się nimi.

RS: A jeszcze nie tak dawno jazzowy portugalski portal internetowy pisał o tobie: „przyszłość czeka na niego”. Ta przyszłość to już chyba teraźniejszość? Jak ona cię przywitała? Dalej ciężko pracujesz, jako przedstawiciel swojego muzycznego pokolenia? Czy nie masz już czasu, bo ciągle gdzieś latasz?

GF: Staram się grać najlepiej jak potrafię, nadal próbuję się uczyć i oczywiście ćwiczę. Czasem więcej, czasem mniej, dlatego że ciągle ćwiczanie potrafi często zmniejszyć produktywność. Staram się czerpać inspirację ze wszystkiego – nie mówię teraz o muzyce. Staram się być wolny, aż do granic – być wolnym duchem. Nie szukam inspiracji, czy nie staję się na siłę wolny. Taki jestem, a inspiracja jest wszędzie i



przychodzi sama. Znajdziesz ją idąc wspinać się po skałach, upijając się gdzieś do nieprzytomności, wybierając się do pierwszego lepszego klubu, czy specjalnie do klubu dla gejów... – ona jest wszędzie. Próbuję być wolnym duchem nie od dziś, bo uważam, że nie można zamykać się w czterech ścianach ćwiczeniówki – to byłby problem. Staram się otworzyć najmocniej jak mogę w życiu, czytać jak najwięcej jak najlepszych książek, przebywać ze świetnymi ludźmi, bywać w wyjątkowych miejscach – wszystko stymuluje to, co później będę grał na scenie. Jeśli jestem zamknięty w pokoju doskonalcę technikę, to nie będę miał kompletnie nic do powiedzenia. W dodatku będę miał może jednego znajomego, też bębniarza, bo będę mówił tylko o perkusji. Staram się być żywy do granic, cokolwiek to znaczy, brzmi nawet trochę głupio, ale korzystam z czasu, jak tylko mogę. Muzycy nie też staram się robić jak najwięcej, zarówno grać z tymi, z którymi spotykam się w klubie w Lizbonie, nawet jeśli im nie do końca wycho-

dzi, jak i z tymi z którymi wyjść na scenę było kiedyś moim marzeniem. Gram na wielkich festiwalach, gram w małych popieprzonych spelunach dla ośmiu osób, to nie ma znaczenia. Ja potrzebuję, ja chcę, ja powinienem to robić – robić muzykę.

RS: W tym ciągłym nurcie od trasy do trasy, w jakim płynie twoje życie masz pewnie jakąś najważniejszą część. Który element tego cyklu uważasz za najistotniejszy, czy sprawiający największą frajdę? To co dzieje się w trasie, w nowych miejscach, na koncercie, po koncercie, wylatując z Lizbony czy do niej wracając?

GF: Dobre pytanie, bo sam nie wiem, muszę się zastanowić... To wszystko jest bardzo ważne i wszystko sprawia frajdę. Ale nie ma czegoś takiego jak początek, czy koniec. Jedno przelewa się w drugie. Każdy moment ma specyficzną energię, która pomaga nam przez te trasy przechodzić cało, napędza nas. Ale najważniejsze



jest to, aby być bardzo, ale to bardzo skupionym kiedy grasz. Muzycy różnie do tego podchodzą. Ja to postrzegam naprawdę poważnie. Wywołuje to u mnie potężne emocje. Zatapiam się w tym cały, kocham być na scenie. Zresztą lubię sytuacje bez wyjścia, a tak jest kiedy siedzisz za bębnami, ludzie siedzą przed sceną no i teraz musisz zagrać – więcej – musisz zagrać dobrze! Nie masz żadnego planu ucieczki, nie ma planu B. Uwielbiam to uczucie. Wtedy już staram się jak najmocniej skoncentrować. Jeśli pójdzie dobrze, to wywołuje we mnie wielką satysfakcję, ale czasami jeszcze lepiej jeśli pójdzie źle, żeby wyciągać wnioski – to jest szkoła grania. Raz na jakiś czas musisz spierdolić koncert żebyś poczuł odpowiedzialność, bo tu nie ma żartów.

RS: Nie masz czasem dość? W jednym miesiącu możesz być w Japonii, Szwajcarii i Argentynie, ciągle na najwyższych obrotach. Jak ty się w tym odnajdujesz? To chyba nie jest lekki kawałek chleba?

GF: Nie wiem czy to jest trudne, bo to jest jakaś moja droga. Podróżuję dużo, ale ciągle nie za dużo. Są przecież muzycy, którzy grają ponad 200 koncertów w jednym roku. Więc może jeszcze nie jestem skończonym świrem. Ciągłe granie, nowi ludzie, nowe sceny, nowe projekty – to mnie uczy dużo o sobie, tego kim jestem. Bez przerwy stawiam sobie wyzwania, jestem w jednym wielkim wyzwaniu. Muszę być ciągle świeży. Nie mogę zatrzymać się za długo w jednym miejscu, na jednej płycie. To jest coś, co mnie napędza. Choćby w trasie z Imprographic byliśmy w Wiedniu, chwilę później nad Bałtykiem, widzieliśmy dużo, spotkaliśmy wielu ciekawych ludzi, byliśmy na jakiejś ważnej gali,

gdzie Piotrek Damasiewicz dostał nagrodę – to wszystko są inspiracje! Choć jak wracam do domu, to czuję się jak idiota. Po takich dwóch tygodniach jestem pełen emocji, ciągle w pośpiechu, tyle się wydarzyło! A tutaj siedzą ludzie i mówią, że jest nudno i nie dzieje się nic. Rozumiesz? To jest zderzenie dwóch światów. Czy ja mam teraz coś opowiadać? Za każdym razem zderzać takie dwie rzeczywistości?

RS: Byłeś ukształtowany przez akademię, miałeś w głowie wszystkie zasady i wskazane drogi rozwoju. Ty jednak sprzeciwiłeś się muzycznej koncepcji środka. Mimo lat kształcenia odwróciłeś się od mainstreamu, czy też czasem w ogóle od jazzu. Odnoszę wrażenie, że stwierdzenie „zawsze kiedy znajdziesz się po stronie większości zatrzymaj się i pomyśl przez chwilę” pasuje do ciebie idealnie.

GF: Oczywiście! Zgadzam się z tym stwierdzeniem, w wielu aspektach ma ono swoje przełożenie. Szczególnie na sprawy muzycznej edukacji, która uczy podążania za większością. Może to nie jest największy, ale jeden z tych wielkich problemów, które są w muzyce. W tej chwili w Lizbonie gra Jeb Bishop, będę grał z nim też dzisiaj wieczorem. Wczoraj poruszaliśmy właśnie ten problem. Pytał mnie jak wygląda edukacja tutaj, w Portugalii. Próbowałem mu wytłumaczyć, że szkoła stara się nauczyć cię grać jak wszyscy, brzmieć jak wszyscy, zabija twój język, że nikt nie wybiera ryzykownych dróg, nikt nie pokazuje odmiennego zdania, bo tak jest łatwiej. Jeśli jest piętnastu gitarzystów, którzy brzmią i grają jak Kurt Rosenwinkel to wszystko ma być proste, ale kiedy ktoś wybiera drogę Dereka Bailey'a, to rodzi się problem.

Konkluzja, do której doszliśmy z Bishopem po tej rozmowie o edukacji, zmierza do jednej ważnej rzeczy i myślę, że o to ci chodzi. Przyznaliśmy, że oczywiście problem jest w edukacji, ale ten problem był zawsze. Decydujący jest tutaj czynnik ludzki. Nie jestem nikiem wyjątkowym. Podobnie jest na polskiej scenie. Damasiewicz to też przecież osoba mocno wyedukowana. Przeszedł przez trzy szkoły, wbijano mu do głowy różne akademickie durnoty, a jednak jest sobą. To jest kwestia możliwości i horyzontów każdej oddzielnej jednostki. Nie chcę też powiedzieć, że perkusiści nie powinni studiować i uczyć się technik starych mistrzów, choćby Maxa Roacha, czy Buddy'ego Richa, ale nie można im narzucać ich stylu myślenia. To jest przeterminowane!

RS: To jak było w Twoim przypadku? Kiedy nastąpił ten moment gdy poczułeś, że chcesz iść w inną stronę, poznawać więcej?

GF: Miałem to szczęście, że otworzyłem oczy i uszy stosunkowo szybko, byłem młody zarówno muzycznie jak i życiowo. Jak byłem nastolatkiem, to słuchałem różnych rzeczy; od punk rocka przez drum&bass, po dziwactwa muzyki elektronicznej. Później oczywiście słuchałem masę muzyki jazzowej, co było naturalne. Miałem jednak taki prosto ukierunkowany gust, że chciałem słuchać tylko szybkiego grania, rwącego swingu itd. Na bębnach niewiele wtedy umiałem. Poznałem w tym czasie ludzi z Clean Feed Records, oczywiście w sklepie płytowym Trem Azul (ang. Blue Train). Pamiętam to doskonale. Miałem wtedy około 17 lat, wszedłem do tego sklepu mówiąc, że chcę kupić płytę ja-

kiegokolwiek składu, byle było to szybkie jazzowe granie – takie klapki na oczach... Wtedy podszedł do mnie Travassos – grafik, który tworzy większość okładek dla Clean Feed – powiedział, że znajdzie mi coś szybkiego. Przyniósł mi całą stertę płyt, postawił przede mną przy takim stanowisku odsłuchowym. Nie miałem wówczas pojęcia co to za projekty, nawet nazwisk nie kojarzyłem. Pierwsza płyta z tej sterty to (do dziś jestem wielkim fanem tego krążka) *Touchin' on Trane* trio Charlesa Gayle [Rashied Ali/William Parker]. Wysłuchałem pierwszej minuty nagrania i nagle WOW! To jest to! Nie miałem pojęcia czego słucham, ale wiedziałem, że to jest to. Właśnie na tym nagraniu było wszystko, czego słuchałem do tamtej pory w jazzie... i dużo więcej. To co grał Rashied Ali dla mnie było kosmosem. Wiedziałem, że chcę iść w tę stronę.

RS: Byłeś w Lizbonie w czasie, kiedy powstawał Clean Feed. Jak to wyglądało i jak wygląda teraz z twojej perspektywy?

GF: To jest bardzo kompleksowe przedsięwzięcie. Clean Feed jest dużą marką wydającą albumy współczesnego jazzu, cały świat zna ich albumy. W Portugalii ludzie szanują ich pracę, ale słuchaczy tej wytwórni nie ma u nas zbyt wielu, tutaj bardzo mała grupa ludzi słucha tego rodzaju muzyki. Mają legendarny sklep. Asortyment tego sklepu jest bardzo atrakcyjny. Płyty CD, winyle, płyty używane, bootlegi... Sklep połączony jest z barem, więc możesz przyjść posłuchać muzyki i coś wypić, nie musisz iść konkretnie na zakupy. To jest specyficzne miejsce spotkań. A założyciele to normalni ludzie, żadne osoby poza zasięgiem, choć na swój sposób wyjąt-

kowi. To grupa specjalistów pracująca bardzo ciężko i wkładająca w pracę bardzo dużo serca. Powstanie wytwórni to długa historia. Skrótowo mówiąc, wszyscy (na początku były to cztery osoby, jeśli dobrze pamiętam) pracowali w największym sklepie płytowym w mieście. Niektórzy w dziale jazzowym inni klasycznym, nieistotne. Pewnego dnia sklep splajtował, został zamknięty. Nagle powstała idea założenia własnej małej firmy, która wydawałaby albumy pasujące do ich gustu. Nie mieli pieniędzy od rządu, miasta, czy Unii. Wyciągnęli tyle, ile mieli w swoich kieszeniach, a nie mieli zbyt wiele, bo przecież mówimy o przeciętnych – jeśli chodzi o zarobki – ludziach. Bardzo fajne w historii Clean Feed jest jednak to, że zaczęli od niczego i pojawili się trochę znikąd. Robiąc to, co kochają doszli do obecnej sytuacji. Właśnie to jest przyczyną ich sukcesu – determinacja i prawdziwa pasja do rzeczy, którymi zaczęli się zajmować; kochali to, więc musiało się udać.

RS: W czasie twojego ostatniego pobytu w Polsce było wiele rozmów. W warszawskim klubie Pardon, to tu w dyskusji właśnie o rynku fonograficznym padło charakterystyczne stwierdzenie autorstwa Dereka Baileya na temat relacji rynku do muzyki improwizowanej pamiętasz? („Improwizacja jest mu [rynkowi fonograficznemu] nie na rękę – nie sposób zarobić pieniądze na gównie, w którym nigdy nie wiadomo, co się stanie za minutę” – Derek Bailey)

GF: Tak, pamiętam i to jest oczywiście prawda. Jest jednak bardzo pozytywna rzecz z rynkiem związana. Pomimo całego spierdolonego mainstreamu, wszystkich tych rzeczy dookoła, bezsensownych *funky* i *groove’ów* jest masa świet-

nych artystów, którzy grają bardzo dobre free czy muzykę improwizowaną. Wbrew pozorom, ludzi zainteresowanych tą muzyką nie jest mało i to jest ta pozytywna sprawa! Nawet, jeśli rynek jest mały z twojej perspektywy, bo siedzisz teraz w Warszawie, czy z mojej, bo jestem w Lizbonie, to patrząc globalnie wcale nie jest źle, wcale nie jest to mała siła. Jest masa ludzi na całym świecie, która jest tym zainteresowana. Jeśli nie ograniczasz się do swojego kraju to nie musisz się martwić, czy dożyjesz do kolejnego miesiąca. Nie możesz myśleć granicami. W ogóle duża część muzyki może polegać na przesuwaniu granic, czy ich zacieraniu. To ważne...

RS: Koncertowałeś już w Polsce wiele razy. Twoich sześć wizyt i współpraca z dużym gronem muzyków mogła wytworzyć pewne opinie. Jak oceniasz polskich muzyków?

GF: Jeśli mam kategoryzować krajami, to według mnie – w całej Europie – Polska jest krajem znajdującym się pod największym wpływem Stanów Zjednoczonych. Jeśli myślisz o Wielkiej Brytanii, o Skandynawii, o Francji – to myślisz o specyficznych stylach grania jazzu. Jeśli chodzi o Polskę to widzę ją, jako bardzo mocną muzycznie. Macie całe rzesze świetnie wyedukowanych muzyków, jednak będących pod wielkim, wielkim wpływem amerykańskiego mainstreamu.

RS: Jako komuś, mającemu szerszą perspektywę, obserwującemu to z boku, przeszło ci przez głowę czemu tak jest?

GF: Wiesz, to jest prawdziwie trudne pytanie. Na pewno jest wiele przyczyn. Często spotykałem u Was w kraju muzyków, którzy mówili wprost, że chcą odrzucić od siebie wpływy, chcą przestać grać jazzowo, chcą zatopić się w muzykę improwizowaną i grać świeżo. Później wychodzili na scenę i grali wciąż ten sam materiał, coś czego jeszcze przed chwilą nie chcieli. To może są tysiące powodów. Ale człowieku, macie tak dobrych muzyków! Jeden z najlepszych swingujących bębniarzy, jakich słyszałem w ciągu dwóch ostatnich lat na całym świecie, to był Wojciech Romanowski. Jak on potrafi grać na swoich bębnach, to jest nie-wia-ry-go-dne! Powinien go do siebie ściągnąć Marsalis, ale pieprzyć Marsalisa. Romanowski jest wybitny! Oczywiście mówię o starym stylu gry na bębnach, tyle że powtórzyć to, co on gra na perkusji graniczy z cudem! A to tylko jeden polski przykład. Ciekaw jestem jaka będzie kolejna, młoda generacja polskich muzyków.

RS: Powiedz co ty byś robił, gdyby nie muzyka?

GF: Nie mam pojęcia! Z pewnością jeździłbym się wspinać... bo trochę mało mam na to czasu. Jak zaczynałem studia, to poza muzyką przez jakiś czas męczyłem projektowanie graficzne i design. To jednak była dla mnie ciężka praca, zaczęła mnie nudzić dosyć szybko. Za dużo godzin przed komputerem, robienie projektów godzinami przy jakichś programach... W teorii uwielbiam design, ale w praktyce męczyło mnie to strasznie. Zbyt statyczne zajęcie jak dla mnie. Nie mój tryb życia, nie mógłbym pracować w takim systemie dom-biuro-dom.

RS: Ale na pewno masz znajomych żyjących w takim modelu. Nie mają cię za świra?

GF: Mają mnie za szczęśliwego sukinkota.

RS: Dzięki za rozmowę, czekamy na twój lipcowy przyjazd do Polski!

GF: Do usłyszenia!

Sytuacja jest ciekawa i złożona

Sytuacja polskiego jazzu jest dziś niewątpliwie bardzo ciekawa i zarazem dość złożona. Zacznę od tego, że mamy kilka – zaledwie, ale jednak – gwiazd jazzu czy też postaci światowego/europejskiego formatu. Niezależnie od artystycznej oceny dokonań – niegdyś Komedy, Trzaskalskiego a dziś Stańki, Możdżera, Trzaski czy Sendeckiego – to dobrze dla nas. Dobrze, że świat muzyki wie, że i tu w Polsce rodzą się wielkie talenty dorównujące najlepszym.

Po drugie, polscy muzycy jeżdżą coraz więcej po świecie, grając swoją muzykę. To jest fakt znany od dawna i choć nie jestem badaczem, wydaje mi się, że nastąpiło niezwykle nasilenie tego procederu w ostatnich latach.

A teraz kilka negatywów. Otóż polski rynek wydaje się wciąż bardzo, bardzo mały. Tak jakby nie chciał pomieścić większej liczby różnych, odrębnych muzycznych światów. Płyty większości twórców sprzedają się słabo. I ta tendencja spadkowa wciąż się utrzymuje. Na domiar złego, mam wrażenie, że nadal bardzo daleko nam do różnorodności jazzu zachodnioeuropejskiego czy amerykańskiego. Owszem, pojawiają się coraz lepsze projekty, ale wciąż odrzucamy te bardziej złożone i odważne wizje. Tak, jakby polska publika nie była wciąż gotowa na takie działania ze strony polskich muzyków, choć przecież bez problemu konsumuje przedsięwzięcia zza granicy. Brak odwagi, brak pogłębionej pracy koncepcyjnej – wiem, że to gorzkie słowa i są wyjątki – ale z mojej perspektywy tak to wygląda. Choć z drugiej strony, nie

odważę się jednoznacznie stwierdzić, czy polski szeroko pojęty jazz jest już jakimś odrębnym gatunkiem, ale widzę że krajowi muzycy poszukują – w coraz to bardziej odrębny sposób – inspiracji i źródeł.

Ostatnim tematem są oczywiście pieniądze. W dużym skrócie, ministerstwo kultury postrzega jazz, jako sprawę marginalną. Wsparcie dla tej muzyki – w porównaniu do teatru czy muzyki „poważnej” – jest znikome. Do tego dochodzi fakt, że wiele klubów oferuje dziś koncerty opłacane z biletów, co wiąże się ze znikomym dochodem.

Dominik Strycharski



Dionizy Piątkowski – entuzjasta i promotor jazzu, etno-muzykolog, który, gdyby nie było jazzu, z pewnością by go wymyślił. By realizować swoje pomysły prowadzi cykl koncertowy Era Jazzu i aby wszystko usystematyzować napisał pierwszą w Polsce Encyklopedię Jazzu.

Kolejka do jazzu

Przez lata nabrałem takiego przyzwyczajenia, że nim wybiorę się na koncert, rezerwuję bilet lub zaproszenie. Nie dziwi zatem, że na wiele tygodni, a często i miesięcy trzeba zarezerwować miejsce w nowojorskim Blue Note, Village Vanguard czy Keystone Corner w San Francisco. Nie ma praktycznie możliwości „wejścia z marszu” na jazzową imprezę klubową lub festiwalową, która owiana jest aureolą modnego i prestiżowego miejsca, ciekawego artysty lub niepowtarzalnego wydarzenia. Na koncerty i festiwale w szwajcarskim Montreux, kanadyjskim Montrealu, amerykańskim Newport czy francuskiej Nicei nie ma praktycznie szans, by wpaść..., bo ma się akurat wolny wieczór. Pamiętam konsternację moich znajomych, którzy uparli się towarzyszyć mi w koncertach słynnego Northsea Jazz Festival. Kiedy wczesnym porankiem pojawili się u bram festiwalu, zauważyli ogromny tłum i kilkadziesiąt transparentów z jednym hasłem „bilet – za każdą cenę – kupię”.

Northsea Jazz Festival to impreza totalna. W ciągu trzech weekendowych dni, odbywa się ponad trzysta koncertów z udziałem tysiąca jazzowych gwiazd. Ogromny rozmach organizacyjny, niezwykle szeroki dobór stylistyczny i artystyczny, wielotysięczna publiczność (ponad 30 tysięcy fanów dziennie), to charakterystyczne cechy tego, bodaj największego, festiwalu jazzowego w Europie. Myliłby się ktoś sądząc, że sprzedane na wiele tygodni karnety wstępu są wyrazem masowego uwielbienia dla jazzu. Są raczej oczywistą „modą na NorthSea”, która



zafascynowała tysiące fanów i turystów zjeżdżających na jazzowe „jamboree” z całej niemal Europy.

Każdorazowo, gdy wybieram się do nowojorskiego Museum of Modern Art (MoMA), na przedstawienie na Broadway’u czy koncert w Madison Square Garden lub Carnegie Hall, zawsze dokonuję rezerwacji z wielomiesięcznym wyprzedzeniem, bo wiele imprez jest po prostu „sold out”. Jestem tylko jednym z setek tysięcy, którzy polują na ten sam bilet wstępu. Niedawno przez pół nocy czyhałem przed komputerem, by kliknąć zamówienie na bilety na stadionowy koncert Bruce’a Springsteena i znaleźć się potem w siedemdziesięcioletnim tłumie takich samych zażartych entuzjastów jego muzyki. Przyszliśmy tam dla muzyki, nie dla koktajlowej celebry!

Ta oczywista moda na bywanie na prestiżowych i nobilitujących imprezach omija jednak Polskę. Oczywista już dzisiaj komercjalizacja kultury, hołdowanie tanim, pseudoartystycznym prezentacjom, kult trywialnej, celebryckiej i brukowej sztuki powoduje niebezpieczny zanik nawyku bywania na wydarzeniach oraz imprezach artystycznie ważnych i niepowtarzalnych. Dzisiaj pokazanie się na „artystycznych bankietach” z celebrytami jest ważniejsze niż wieczór w filharmonii, operze czy na koncercie jazzowym. Swoisty „bankietowo-celebrycki” clubbing zastąpił to, co w całym nobliwym świecie jest sensem trwania i uczestniczenia w kulturze. Noworoczny koncert w wiedeńskiej filharmonii, recital Angelique Kidjo w Carnegie Hall czy specjalny projekt Johna Zorna nie mają

w świecie konkurencji. Ale u nas przegrywają z celebryckim bankietem i ustawką dla kolorowanego magazynu.

Pamiętam koncert muzyki biesiadnej – transmitowany w telewizji – gdzie w strefie VIP rubasznie bawiły się rodzime elity, których darmo szukać na ważnych koncertach w filharmonii, niepowtarzalnych koncertach jazzowych czy teatrze. Bryłowanie na czerwonym dywanie i reklamowej ścianie nie czyni nas kulturalnie lepszymi. Ot, plasuje w jakiejś niby-kulturalnej lidze.

Kochajmy i szanujmy wielką sztukę, wybitnych i wielkich artystów. Podziwiajmy ich muzykę, pomysły i niepowtarzalne artystycznie projekty. Ustawmy się – także w Polsce – w kolejce na koncert!

Dionizy Piątkowski

Więcej na www.jazz.pl

2013 Blues Music Awards

Tradycyjnie – każdego roku – na początku maja, oczy fanów bluesa na całym świecie zwrócone są w kierunku Memphis, gdzie przyznawane są Blues Music Awards.

9 maja 2013 r., międzynarodowa organizacja The Blues Foundation już po raz 34. zorganizowała jedyną w swoim rodzaju galę, na której poznaliśmy laureatów tych prestiżowych nagród. Warto dodać, iż zwycięzców w 25 kategoriach wybiera kilka tysięcy członków The Blues Foundation, do grona których zalicza się również piszący niniejsze słowa.

Osobiście jestem bardzo zadowolony z tegorocznych wyników, ponieważ w znacznej mierze pokrywają się z moimi typami, aczkolwiek wśród nominowanych zabrakło – moim zdaniem – kilku mocnych kandydatów, m.in. albumów Otisa Taylora i Lurrie Bella.

Niekwestionowanym zwycięzcą tegorocznej edycji Blues Music Awards okazał się Curtis Selgado, przytulając 3 statuetki w kategoriach: Soul-Blues Artist of the Year, Soul-Blues Album of the Year i B.B. King Entertainer of the Year. Polskich fanów bluesa powinno to szczególnie cieszyć, ponieważ Selgado będzie gwiazdą tegorocznej edycji festiwalu Jimiway w Ostrowie Wielkopolskim.

Także trzy nagrody z czterech nominacji otrzymała, będąca na fali, formacja Tedeschi Trucks Band. Bardzo cieszy również nagroda w kategorii Contemporary Blues Album of the Year dla wydanej pośmiertnie płyty nieodżałowanego Michaela Burks'a pt. *Show of Strenght*. Jak zwy-

kle nie zawiedli również Janiva Magness oraz Tab Benoit.

Oto pełna lista zwycięzców:

Acoustic Album of the Year: Not Alone – Ann Rabson w/ Bob Margolin

Acoustic Artist of the Year: Eric Bibb

Album of the Year: Show of Strength – Michael Burks

B.B. King Entertainer of the Year: Curtis Salgado

Band of the Year: Tedeschi Trucks Band

Best New Artist Debut: Big Llou Johnson – They Call Me Big Llou

Contemporary Blues Album of the Year: Michael Burks – Show Of Strength

Contemporary Blues Female Artist of the Year: Janiva Magness

Contemporary Blues Male Artist of the Year: Tab Benoit

DVD of the Year: Muddy Waters & the Rolling Stones – Live At Checkerboard Lounge (Eagle Rock)

Gibson Guitar Award: Derek Trucks

Historical Album of the Year: Various Artists – Plug It In! Turn It Up! Electric Blues (Bear Family Records)

Best Instrumentalist – Drums: Cedric Burnside

Best Instrumentalist – Bass: Bob Stroger

Best Instrumentalist – Harmonica: Rick Estrin

Best Instrumentalist – Horn: Eddie Shaw



Pinetop Perkins Piano Player of the Year: Victor Wainwright

Koko Taylor Award (Traditional Blues Female): Ruthie Foster

Rock Blues Album of the Year: Tedeschi Trucks Band – Everybody's Talkin'

Song of the Year: I Won't Cry by Janiva Magness & Dave Darling (Stronger For It – Janiva Magness)

Soul Blues Album of the Year: Curtis Salgado – Soul Shot

Soul Blues Female Artist of the Year: Irma Thomas

Soul Blues Male Artist of the Year: Curtis Salgado

Traditional Blues Album of the Year: The Manish Boys – Double Dynamite

Traditional Blues Male Artist of the Year: Magic Slim

Piotr Łukasiewicz

Joe Bonamassa *An Acoustic Evening at the Vienna Opera House*

Bonamassa rozkochał w swojej muzyce sporą część polskich fanów bluesa. Nic w tym dziwnego, skoro ciągle daje nam powód do tego, aby o nim mówić i słuchać jego fantastycznych nagrań. Od lat dostarcza słuchaczom niebywałych wzruszeń, a jego gra na gitarze nie ma sobie równych. Nagrania studyjne, jak i koncertowe prezentują zawsze bardzo wysokim poziom. Ogromnym powodzeniem cieszył się album *Driving Towards The Daylight*. Trudno w to uwierzyć, ale w samym 2011 roku gitarzysta wydał aż trzy płyty: *Dust Bowl*, *Black Country Communion 2* i *Don't Explain*. Tytuł tej ostatniej nawiązuje do słynnego nagrania Billie Holiday, zaś w rolę wokalistki wcieliła się utalentowana Beth Hart.

Bonamassa od lat współpracuje z producentem Kevinem Shirley, z którym się rozumieją, mają na wszystko świeże spojrzenie oraz mnóstwo nowej energii. Tak też jest z najnowszym podwójnym koncertowym wydawnictwem *An Acoustic Evening AT the Vienna Opera House*, za który odpowiedzialni są wspomniany Kevin Shirley oraz Roy Weisman. Materiał ten zarejestrowany został podczas specjalnego występu akustycznego w Operze Wiedeńskiej 25 marca 2013 roku, gdzie obok znanych utworów, Bonamassa zaprezentował tamtejszej publiczności także te nieco mniej popularne.

Na albumie znalazło się 21 utworów, z czego na pierwszym krążku znajdziemy 11 kompozycji utrzymanych w bluesowej konwencji (bo



Wydawnictwo: Provogue Records/Mascot/ Mystic Production

jak mogłoby być inaczej...). Zarówno rozpoczynający „Arrival”, po którym otrzymujemy jeszcze 10 kolejnych kawałków („Palm Trees, Helicopters And Gasoline”, „Jelly Roll”, „Dust Bowl”, „Around The Bend”, „Slow Train”, „Athens To Athens”, „From The Valley”, „The Ballad of John Henry”, „Dislocated Boy”, aż po „Driving Towards The Daylight”) to utwory, w których Bonamassa sięga po ulubionego Les Paula z 1959 roku. Dzięki temu nagrania mają ciekawsze brzmienie i atrakcyjną fakturę. „Driving Towards The Daylight” zamykający pierwszy dysk z podwójnego wydawnictwa, to tytułowy kawałek z poprzedniego albumu gitarzysty, w którym solo wymagało dogrywki. Tym razem, występując w Operze Wiedeńskiej nie potrzebował potężnego brzmienia wzmacniaczy, a jedynie czystego, akustycznego soundu.

Ekspresyjne solówki akustyczne pojawiają się na drugim krążku wiedeńskiego albumu, na którym znalazło się 10 utworów. Zarówno

„High Water Everything”, „Jockey Full of Bourbon”, „Richmond”, „Stones In My Passway”, „Ball Peen Hammer”, „Black Lung Heartache”, „Mountain Time”, „Woke Up Dreaming”, „Sloe Gin” oraz zamykający całość „Seagull”, to w większości autorskie kompozycje Joego.

Muzyk jak widać, a przede wszystkim słyhać, otwarty jest na kompozycje innych artystów, które pod jego palcami brzmią bardziej uroczo. Nie obyło się bez gości specjalnych, tym razem na scenie – obok Bonamassy – pojawili się Gerry O'Connor, Mats Wester, Arlan Schierbaum i Lenny Castro. Już po nazwiskach widać, że na wiedeńskim koncercie nie mogło być lipy. Jak przystało na jednego z najbardziej płodnych gitarzystów i wokalistów bluesowo-rockowych i tym razem dostarczył słuchaczom sporą dawkę akustycznego bluesa z odrobiną Americany. Album brzmi naprawdę wspaniale, a udział w tym wyjątkowym koncercie był olbrzymią frajdą. Pozostaje pozazdrościć tym, którzy oglądali ten występ na żywo.

Opracowanie Andrzej Patlewicz



Nowa płyta Moreland & Arbuckle

20 maja wytwórnia Telarc wydała nowy album znanej w naszym kraju formacji Moreland & Arbuckle. Krążek zatytułowany *7 Cities* zawiera 13 utworów, w tym 8 autorstwa stanowiącego trzon formacji tandemu Aaron Moreland/Dustin Arbuckle, 4 kompozycje napisane dla zespołu przez przyjaciół oraz niespodziewaną wersję jednego z przebojów lat 80. Jak mówią Moreland & Arbuckle, *7 Cities* jest concept – albumem osnutym wokół mitu „Siedmiu miast ze złota”, którego akcja miała się dziać wieki temu, m.in. na terenach będących dziś amerykańskim stanem Kansas, z którego pochodzi zespół. Muzycznie, album jest kontynuacją dobrze znanego polskim fanom stylu M&A, celnie określanego „roots rockiem”, a mocno osadzonego w bluesowych korzeniach. Ciekawostką jest to, że po raz pierwszy płytę wyprodukował nie Aaron Moreland, a wywodzący się z indie-rockowego środowiska Matt Bayles (znany ze współpracy z zespołami takimi, jak Mastodon, the Sword, czy Isis).

Mało Obiektywny Blues

Ben Harper with Charlie Musselwhite – *Get Up!*

Album ten jest owocem wieloletniej muzycznej przyjaźni muzyków – dwóch odległych, wydawać by się mogło – pokoleń. Musselwhite blisko 70-letni weteran scen bluesowych, żywa legenda i jeden najznamienitszych harmonijkarzy w historii muzyki bluesowej, połączył siły z 44-letnim kultowym gitarzystą i wokalistą z kręgu muzyki folkowej, bluesowej i rockowej.

Ich artystyczne związki sięgają roku 1998, kiedy to wspólnie brali udział w nagraniu płyty Johna Lee Hookera pt. *Best of Friends*. Później wielokrotnie spotykali się w studio oraz na scenie, ale dopiero teraz zdecydowali się nagrać wspólny materiał na płycie.

Zestaw dziesięciu utworów oferuje nam zróżnicowaną mieszankę stylistyczną opartą na współczesnych nurtach i przesączoną duchem przedwojennego bluesa.

Już od pierwszych nut otwierającej płytę „Don't Look Twice” czujemy aurę wyjątkowości. Z jednej strony akustyczne, brudne brzmienie przypominające kompozycje Skipa Jamesa z lat 30-tych, falsetowy wokal przypominający Jamesa, a z drugiej strony elektrycznie, soczyście brzmiąca harmonijka rodem z Chicago.

Płyta obfituje w liczne zmiany klimatów i tempa. Kilka ‘wysokoenergetycznych’ (np. „I'm In, I'm Out, I'm Gone”) kompozycji napędzanych archaicznie, ale potężnie brzmiącą harmonijką Musselwhite'a przenoszą nas do Chicago lat

Przegląd Płyty



50-tych, do klubu, gdzie w zadymionym klubie rządzą Muddy Waters i Little Walter. Z kolei „I Don't Believe A Word You Say” to niemal hardrockowa kompozycja, choć w wydaniu akustycznym, podnosi ciśnienie i emocje nie słabiej od legendarnych Led Zeppelin.

Całość zamyka przepiękny leniwy blues „All That Matters Now” z akustyczną delikatną harmonijką w tle i subtelnym wokalem będącym idealną klamrą dla tego wydawnictwa i podkreślającym niezwykłą wartość, jaką jest przyjaźń.

Niech nie zmylą was te porównania, które przywołałem. Nie ma tu mowy o powielaniu. Ta płyta, to niezwykle unikalny pomysł zarówno pod względem kompozytorskim, jak i brzmieniowym, a odwołania, jakich użyłem w recenzji jedynie podkreślają, że muzyka jest jedna i wyrasta z tych samych korzeni.



Duke Robillard Band – *Independently Blue*

Tradycją już stało się, że każdy rok przynosi nową płytę jednego z moich faworytów, czyli Duke'a Robillarda. Ten niemłody już muzyk jest wyjątkowo aktywny zarówno nagraniowo i koncertowo, a także, jako producent i nauczyciel. Właśnie jeden z jego wychowanków – Mighty Mike Welch, który z powodzeniem wypłynął na szerokie wody show-biznesu, jest jednym z gości na najnowszym albumie Księcia.

Cytując Robillarda – *Independently Blue* – to dla niego wyjątkowy album, ponieważ łączy elementy jego ulubionych rodzajów, czyli: bluesa, wczesnego rock'n'rolla i jazzu. Różnorodność stylów jest częścią muzycznej osobowości Duke'a, ale jak podkreśla artysta, nad wszystkim króluje bluesowa wrażliwość.



BLUESOWY ZAULĘK

Nic dodać, nic ująć – *Independently Blue*, to kolejny wyśmienity eklektyczny zestaw przesączonej delikatną, stylową gitarą bluesową. Gitarowa maestria Robillarda jest niepodważalna, niezależnie od tego, czy mamy do czynienia z teksańskimi dynamicznymi riffami “I Wouldn’t -a Done That”, rockowo osadzonym bluesem w “Below Zero”, energetycznym rock’n’rollem spod znaku Chucka Berry „Laurene”, czy też łagodnym soulowym brzmieniem w “You Won’t Ever”. Wyjątkowym punktem na tej płycie jest psychodelicznie ugruntowany „Moongate”, w którym na pierwszym planie otrzymujemy leniwy wokół Robillarda, a w tle syczy się gitara – budująca przepiękny pejzaż – tworzący tajemniczy, ekscytujący klimat.

Jedną z moich ulubionych kompozycji na tej płycie jest „Patrol Wagon Blues” – wyjątkowo wciągająca za sprawą bagnistego klimatu rodem z Louisiany i nowoorleańskich partii instrumentów dętych.

Utwór “Stapled to the Chicken’s Back” przynosi ze sobą rewelacyjne sprzężenie dwóch absolutnie wyjątkowych gitarzystów, nauczyciela i ucznia. W tej kompozycji w teksańskim stylu, przywołującym nieśmiertelnego Alberta Collinsa, mam wrażenie jakby Robillard i Welch wzajemnie się napędzali, inspirowali w muzycznym uniesieniu, w efekcie dając nam niesamowitą ucztę gitarową.

Płyta ta cieszy z kilku powodów. Udowadnia, że Robillard ciągle jest w absolutnie wysokiej formie, że nie brakuje mu pomysłów oraz że są artyści, na których zawsze można liczyć.

Ronnie Earl And The Broadcasters – *Just For Today*

Niby nic specjalnego. Kolejna płyta koncertowa, składana z kilku sesji, ale... artysta jest nietuzinkowy i dodatkowo w wyjątkowej formie. Ten, jeden z najwybitniejszych gitarzystów w historii bluesa w trakcie swojej 40-letniej kariery zdobył szerokie uznanie, dzięki szczególnej zdolności przełamywania granic między bluesem a jazzem, jednocześnie odwiedzając krainy soulu i rocka. Jego wszechstronność i gitarowa wirtuozeria sprawiły, że stał się jednym z niewielu bluesmanów, będącym w stanie bazować niemal w 100% na instrumentalnym repertuarze. Jego zespół – Broadcasters – stał się jednym z najbardziej poważanych bandów bluesowych lat 80-90-tych.

Właśnie świętując 25-lecie Broadcasters, Ronnie Earl zorganizował kilka koncertów prezentujących przekrój swojej twórczości z paczką przyjaciół. Ponownie – niby nic specjalnego – ale ma to szczególną wartość biorąc pod uwagę fakt, iż Ronnie ze względu na chorobę koncertuje i nagrywa niewiele, w dodatku praktycznie nie podróżuje dalej niż 100 mil od Bostonu.

Na album składa się 13 dobrze znanych instrumentalnych kompozycji mistrza pastelowych i bluesowych klimatów oraz kilka coverów, z których na szczególną uwagę zasługują „Equinox” Johna Coltrane’a oraz „I’d Rather Go Blind” Etty James. Ten ostatni, to jedyny utwór z partią wokalną, którą udanie prowadzi Diane Blue.

Mistrz świętując jubileusz swojego zespołu przy okazji składa hołd, tym którym wiele muzycznie zawdzięcza. Klasykiem „Hart of Glass”



dedykowanym Peterowi Greenowi, Ronnie każdorazowo wprowadza mnie w stan nieziemskich doznań. Tak jest i tym razem. Wersja ta ze względu na koncertowy charakter nabiera dodatkowej mocy. „Rush Hour”, to akt wdzięczności wobec Otisa Rusha. Podobny charakter mają „Blues for Hubert Sumlin” i „Robert Nighthawk Stomp”.

Trudno w przypadku tej płyty analizować każdy utwór z osobna. Stanowi ona blisko 80-minutową etiudę, której nie da się słuchać fragmentami. Całość, mimo znacznej różnorodności, wyjątkową mocą spajają głębokie, pełne uczucia sola gitarowe mistrza.

Od lat ubolewam nad faktem, iż szanse na koncertowe spotkanie z Ronnie Earlem są tylko iluzoryczne. Dlatego też wyjątkowo cenię sobie ten album, który daje namiastkę doznań, o jakich marzę.

Piotr Łukasiewicz



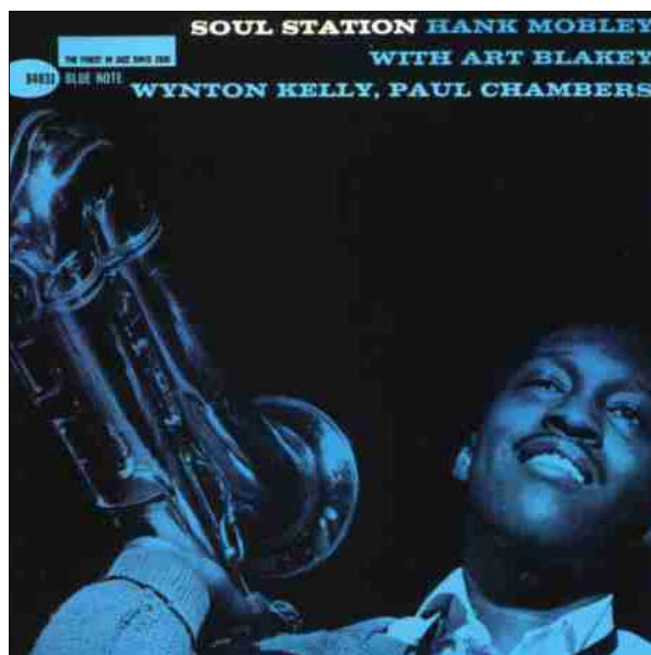
fot. Bogdan Augustyniak





Herbie Hancock – *Maiden Voyage*

Niektórzy nazywają ten album najdoskonalszym koncept-albumem w historii jazzu. Inni zmarnowaną okazją na arcydzieło. Tak, czy inaczej, trudno przejść obok tej płyty obojętnie. To piąty album w bogatej dyskografii Herbiego Hancocka, nagrany w 1965 roku. Poprzednie 4, to albumy równie wybitne, z pewnością również zasługujące na miejsce w Kanonie Jazzu. Solowy debiut – *Takin' Off* już w Kanonie znajdziecie, pozostałe płyty – *My Point Of View*, *Inventions And Dimentions* i *Empyrean Isles* czekają w kolejce. Później bywało różnie, choć z pewnością i wśród nagrań Herbiego Hancocka z lat 70. i 80. znajdziemy pozycje wybitne.



Hank Mobley – *Soul Station*

Lider ma swój własny rozpoznawalny styl, a muzyka na *Soul Station* stanowi jego kwintesencję, pewnie częściowo w związku z tym, że w większości to autorskie kompozycje. To jednak styl trochę nijaki, a raczej niezdecydowany, pozostający gdzieś w połowie drogi między wschodem a zachodem. Taki bowiem geograficzny podział istniał w połowie ubiegłego wieku w amerykańskim jazzie. Tak więc Hank Mobley pozostaje gdzieś pomiędzy melodyjną frazą inteligentnego wschodu, którego ikoną pozostaną na zawsze Gerry Mulligan i wczesny Stan Getz, a drapieżną witalnością zachodniego hard bopu.



Dave Pike – *Jazz For The Jet Set*

Futurystyczna okładka w stylu, który pamiętamy dziś przede wszystkim z filmów science-fiction z połowy lat sześćdziesiątych. Dwie wyśmienite sekcje rytmiczne – Bob Cranshaw/Bruno Carr i Jimmy Lewis/Grady Tate. Na trąbce Clark Terry, a także sensacyjny – zdaje się w takim projekcie – udział Herbie Hancock grającego na fortepianie i na organach. Album powstał w 1966 roku, kiedy Herbie Hancock był przecież już wielką gwiazdą, mając za sobą kilka wybitnych albumów solowych, a także współpracę z Milesem Davisem. Grał jednak wtedy dużo, znajdując swoje miejsce właściwie w dowolnej muzycznej konfiguracji. Grał z Milesem Davisem, Rolandem Kirkiem, Tony Bennettem, Grahamem Moncurem III, czy Bobem Brookmayerem. No i w zespole Dave’a Pike’a.



Jim Hall – *Concierto*

Album *Concierto* zawiera jedną z najciekawszych jazzowych wersji „Concierto De Aranjuez” Joaquina Rodrigo. To trwające ponad 19 minut nagranie jest najważniejszym fragmentem płyty, nagranej w słynnym studio Rudy Van Geldera. Cały materiał, w tym wspomniana kompozycja Joaquina Rodrigo, został zaaranżowany przez Dona Sebeskiego, którego nazwisko związane jest nieodłącznie z wytwórną CTI Creeda Taylora.

Rafał Garszczyński
pełne recenzje na stronie

www.jazzpress.pl/index.php/kanon-jazzu

Redakcja

Redaktor naczelny: Ryszard Skrzypiec –

jazzpress@radiojazz.fm

Rafał Garszczyński – rafal@radiojazz.fm

Maciej Nowotny – maciej.nowotny@radiojazz.fm

Szymon Gołąb – szymon@radiojazz.fm

Jerzy Szczerbakow – jerzy.szczerbakow@radiojazz.fm

Roch Siciński – roch.sicinski@radiojazz.fm

Jacek Wróbel – jacek@radiojazz.fm

Aleksandra Nowosad – ola@radiojazz.fm

Piotr Wickowski – kameralny@radiojazz.fm

Piotr Wojdat – piotr.wojdat@radiojazz.fm

Kacper Palczyński – kacper@radiojazz.fm

Łukasz Nitwiński – lukasz@radiojazz.fm

Piotr Łukasiewicz

Łukasz Pura

Kuba Bąk

Dorota Olearczyk

Beata Zuzanna Borawska

Sławomir Orwat

Andrzej Patlewicz

Dionizy Piątkowski

Korekta

Eliza Galon

Skład i opracowanie graficzne

Beata Wydrzyńska – beata@radiojazz.fm

Skład na czytniki

Stanisław Frankowski – s.frankowski@radiojazz.fm

Marketing i reklama

Agnieszka Holwek – promocja@radiojazz.fm

Fotograficy

Bogdan Augustyniak, Krzysztof Wierzbowski, Rafał

Garszczyński, Piotr Gruchała, Piotr Kaczmarczyk,

Barbara Adamek, Julian Olearczyk, Marcin

Wilkowski, Stanisław Zaremba

Zdjęcia nie opisane nazwiskiem autora pochodzą z materiałów prasowych muzyków i organizatorów koncertów.

Wszystkie materiały w numerze objęte są licencją Creative Commons Uznanie autorstwa-Użycie niekomercyjne-Bez utworów zależnych 3.0 Polska, to znaczy, że wolno je kopiować i rozpowszechniać, jednak należy oznaczyć w sposób określony przez Twórcę lub Licencjodawcę, nie wolno używać do celów komercyjnych i nie wolno zmieniać, przekształcać ani tworzyć nowych dzieł na podstawie tego utworu.

Z tekstem licencji można zapoznać się na [stronie](#) »



Wydawca **euroJazz**

© Fundacja Popularyzacji

Muzyki Jazzowej EuroJAZZ

Adres redakcji:

02-582 Warszawa

ul. Wiktorska 88 m. 22

ISSN 2084-3143

Ostatnio ukazały się:

JazzPRESS, czerwiec 2013



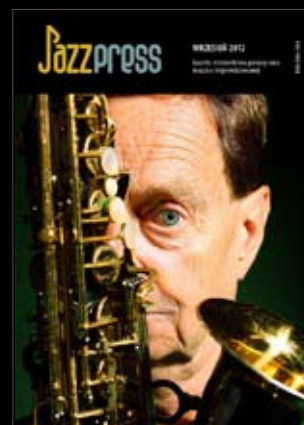
MAJ 2012



CZERWIEC 2012



LIPIEC 2012



WRZESIEŃ 2012



PAŹDZIERNIK 2012



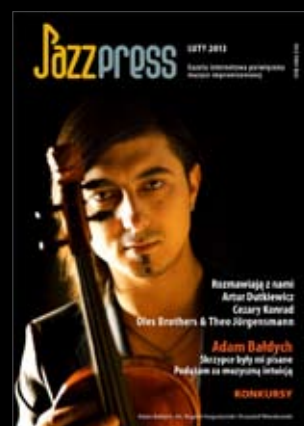
LISTOPAD 2012



GRUDZIEŃ 2012



STYCZEŃ 2013



LUTY 2013



MARZEC 2013



KWIECIEŃ 2013



MAJ 2013